

Zdążyć przed przeznaczeniem

[Z] [Slice of Life]

Autor: Hoffman

Pre-reading: Foley

~ Część druga ~

Narodziny nowego dnia przyniosły kolejne wytyczne odnośnie działań przeciwko rebeliantom. W pierwszej kolejności należało dodatkowo zabezpieczyć wyznaczone tereny i zebrać informacje o możliwych zagrożeniach, a następnie ruszyć zbrojnie, by w porę uderzyć w najczulsze punkty nieprzyjaciela, nim ten posunie się dalej. Wieści szybko rozeszły się po całym kraju, zatem obrońcy we wszystkich, również tych nietkniętych rejonach, zwarci i gotowi, niecierpliwie oczekiwali nowych rozkazów.

Vanhoover został należycie zaopatrzony, a regularne patrole potwierdziły brak zagrożenia czy to ze strony renegatów, czy widzianych w trakcie ostatniego ataku kucoperzy. Dowództwo miało coraz więcej informacji, toteż wiedziało już jak mogło podzielić swoje siły i jak nimi zarządzać, aby poradzić sobie nawet w wypadku ponownego natarcia na miasto. Do bazy w Spring Lake, której istnienie wyjawili schwytani rebelianci, miały udać się oddziały przypisane do pobliskich regionów, zaś w Vanhooverze tymczasowo powołano specjalny zespół, który miał odszukać i zbadać ślady pozostawione przez kucoperze, a przy okazji, w miarę możliwości, zorientować się, w którym kierunku zbiegł Sneaky Step ze swoimi najemnikami. Zwiadowcy potwierdzili już, że nie wycofali się z powrotem do Spring Lake. Ponieważ meldunki z pobliskich baz nie wspominały o żadnej podejrzanej aktywności, spodziewano się, iż mieli oni kryjówkę gdzieś na zachodzie.

Na czele zespołu stanął porucznik Magnet Hook. Średniego wzrostu jednorożec otarł pot z czoła – żar tego dnia lał się z nieba – poprawił biało-czerwoną grzywę, z wolna ruszając na przechadzkę między namiotami. Zbliżała się godzina dziewiąta rano, gdy wylądował przed nim skrzydlaty goniec, przynosząc informacje o postępach w akcji.

– Sir, dwadzieścia osiem kilometrów na południowy zachód od miasta odnaleźliśmy ślady płomiennych kucoperzy! – mówił. – Wygląda na to, że spowodowały pożar w lesie, ale na podstawie badań otoczenia stwierdziliśmy, że musiał on zagasić się sam, gdyż nie znaleziono na miejscu żadnych pozostałości po akcji gaśniczej!

Porucznik zdziwił się, lecz jego pamięć szybko odpowiedziała mu możliwe wyjaśnienie tego zjawiska. Pegaz wyciągnął z juk wykonane przez badaczy szkice, a lekko zakrzywiony, spiczasty róg Hooka pokrył się delikatną aurą, tuż przed tym, jak jego magia przejęła poszczególne arkusze papieru, które po chwili zawisły przed jego oczyma.

Ogier bardzo dokładnie przyjrzał się rysunkom oraz notatkom, nie omieszkując przy tym zadać kilku pytań. Odpowiedzi na nie rozwiązały ostatnie wątpliwości. Porucznik przeniósł swoje bordowe oczy na pegaza, a jego magia złożyła wszystkie papiery i przeniosła je do juk.

– To magiczna energia. Jej uwolnieniu towarzyszyło wytworzenie się znacznego ciepła, więc skutki mogły wyglądać jakby wybuchł pożar, lecz taka moc często jest do pewnego stopnia ograniczona, jakby sama z siebie – tłumaczył. – Jeżeli czarujący nie podtrzyma zaklęcia albo nie zmieni jego celu, spaleni ulegają tylko te obiekty, których dosięgła energia bazowa. Jakby ogień sam z siebie nie mógł podpalać otoczenia i w ten sposób przechodzić dalej.

– Rozumiem, sir. – Goniec kiwnął głową z uznaniem.

– Zazwyczaj takie czary nie trawią całych obiektów, bo ich inicjacja nie wymaga dużej mocy. Trzeba je długo podtrzymywać. Działa to trochę jak bateria: czarodziej inną inkantacją „ładuje” zaklęcie, aby to mogło przez pewien czas działać samo i postępować...

Skończywszy wypowiedź, porucznik zaczął się zastanawiać, czy gdyby nie podjęto akcji gaśniczej w Vanhooverze, kiedy te tajemnicze kucoperze zaatakowały spichrz, czy magiczny ogień również sam by się zgasił, czy też byłoby tak, że zaklęcie dążyłoby do samo-podtrzymania się, czerpiąc moc z tychże istot. Może gdyby odbyło się to mimowolnie, wówczas nieświadome niczego kucoperze w końcu opadłyby z sił i w ten sposób zostałyby schwytane?

Magnet Hook uwielbiał analizować pisane przez siebie scenariusze pod tytułem: „A co by było gdyby?”. Zawsze wierzył w to, że jego gdybanie nie było bezowocne, jak mu niekiedy zarzucano. Spoglądanie na minione wydarzenia z różnych perspektyw pozwalało mu wyciągać więcej wniosków, dzięki czemu był wyczulony na różne zagrożenia i możliwe błędy, toteż będąc wszechstronnie przygotowanym planował przyszłość dużo lepiej. Jego krytycy jednak, często podkreślali, że jakkolwiek wiele pozytywnych skutków takiego myślenia można by wymienić, efekty wcale nie były tak imponujące.

– A powiedzcie mi, czy rozumiecie co do was mówię? – zapytał nagle, a skrzydlaty ogier skinął głową, zapewniając jednocześnie, że przekaże wszystkim działającym w terenie kucykom, słowo w słowo. – Dobrze. To cenne wskazówki – odrzekł porucznik.

– Sir, dalej na zachód znaleziono ślady kopyt. Po dokładniejszym zbadaniu okazało się, że swój początek mają dużo bliżej lasu, ale ciężko było zauważyć wygniecioną trawę.

– Hm. To kucyki?

– Jeszcze nie wiemy, ale istnieje możliwość, że to coś innego – wypowiedziawszy te słowa, goniec przekazał jednorożcowi właściwe szkice i notatki.

Porucznik Magnet Hook zapoznał się z kolejnymi materiałami, doceniając precyzję oraz dociekliwość badaczy. Ich notatki zawierały mnóstwo istotnych wskazówek, które pozwoliły mu lepiej określić sytuację oraz z czym tak naprawdę mieli do czynienia jego podwładni. Uważnie przyjrzał się porównaniu znalezionych śladów z kopytami przeciętnego kuczka, przywołując w myślach skrajne przypadki.

– Nie sędzę, by był to kucyk. Przynajmniej nie taki, który myśli analitycznie i z którym można by nawiązać jakąś konwersację – oznajmił wreszcie Hook.

– Wynaturzenie? – spytał goniec.

– Niewykluczone. Albo powiedzmy wprost, potwór. – Porucznik jeszcze raz przejrzał notatki oraz zaznaczone na szkicach porównawczych różnice, w poszukiwaniu wszelkich nieregularności, które chwilę temu mogły umknąć jego uwadze. – Wagowo to trudno stwierdzić, czym to dokładnie jest. – Myślał na głos. – Gdyby nie te odchyły w obrysie...

– Sir, badacze pragnęli zwrócić uwagę, że ślady prowadzą dalej na zachód. To niebezpieczna okolica.

– Oczywiście. Dlatego dalej się nie zapięcie. Ale przecież żaden stwór nigdy wcześniej nie wlażył tak głęboko do Equestrii! – ogier podniósł głos, schowawszy materiały do juk. – Może aura tych kucoperzy tak nęci? Tam znajdziemy ich siedlisko?

Magnet Hook żywił szczerą nadzieję, że ścigane przez gwardię istoty nie uwiły sobie gniazda na nieodkrytym zachodzie. Były to ziemie znajdujące się poza jurysdykcją Equestrii, niezbadane, za to zamieszkane przez potwory różnej maści. W historii zdarzały się ekspedycje i choć początkowe wyprawy przyniosły wiele interesujących danych topograficznych oraz znalezisk, wystarczyło udać się jakieś pięćdziesiąt kilometrów dalej, by z wyprawy powróciła zaledwie garstka ciężko rannych kucyków. Oddział gwardii, wysłany onegdaj przez księżniczkę Celestię, celem odnalezienia i eskorty zaginionej ekspedycji, nic nie wskórał. Nigdy nie ustalono, co się stało z tymi kucykami.

Jednorożec interesował się historią Equestrii, toteż wiedział o rozporządzeniach dotyczących działań sił zbrojnych w regionie oraz o jednym z niewielu dekretów, z których ostatecznie, z niejasnych powodów, Pani Dnia zrezygnowała. Rzeczą traktowała o wybudowaniu dużego posterunku przy dzikich zachodnich terenach, a także przeznaczenie środków finansowych na kolejne struktury obronne, rozmieszczone po obwodzie półkola na wschód od posterunku. Tereny te miały być ściśle strzeżone: nikt nie mógł się tam zapuszczać i nic nie miało prawa wejść do Equestrii.

Porucznik westchnął na myśl, że – znowuż – gdyby tylko w przeszłości podjęto inną decyzję, dzisiaj wiele spraw wyglądałoby inaczej. Chociaż nie tak dawno temu pojawiła się koncepcja budowy muru, ona również spełzła na niczym.

– Czy znaleziono jeszcze coś, co byłoby godne uwagi? – zapytał.

– Tak, sir! Fragmenty lekkich pancerzy oraz materiały, rozrzucone kilkanaście metrów od ścieżki znaczonej śladami kopyt. Wszystko pokryte grubą warstwą popiołu oraz niezidentyfikowanych jeszcze proszków. Nie są to jednak ślady walki – zrelacjonował goniec.

– Żałuję, że na razie nie mogę do was dołączyć. Inni żołnierze próbują wysledzić dokąd mogły polecieć wrogie nam pegazy. Muszę czekać na ich powrót – rzucił chłodno ogier. Myślam wciąż krążył wokół odnalezionych śladów i tajemnic z nimi związanych. – W porządku. Przekażcie reszcie wszystko co powiedziałem! Żadnych wypraw w głąb dzikich terenów, tylko obserwować przygranicze!

Goniec skinął głową, a następnie chyżo poderwał się do lotu. Porucznik odprowadził go wzrokiem, po czym udał się do swego namiotu. Chciał jeszcze raz przeanalizować szkice oraz dane.

* * *

Historia życia porucznika Magnet Hooka była dosyć przewrotna. Nie sposób zwięźle wymienić wszystkich zaskakujących zwrotów akcji oraz zbiegów okoliczności, które ukształtowały go takim, jakim dzisiaj był. Jak sam przyznawał, w Equestrii nie było stanowiska, które stanowiłoby ucieleśnienie jego życiowych aspiracji. Chciał służyć państwu i jego władczyni, jak jego ojciec, dziad, pradziad. Jednakże żarłocznie chłonał wiedzę magiczną, nierzadko zaczytywał się w księgach traktujących o potworach grasujących w dziczy. Stojąc przednią parą kopyt w stołecznej akademii wojskowej, zaś tylną na uniwersytecie magii i alchemii, marzył o idealnym dla siebie zawodzie – królewskiego tropiciela istot magicznych i bestii.

Niestety, większość rzeczy idealnych miało tę przykrą cechę, że nie istniały one w prawdziwym świecie, z czym można było się pogodzić albo samodzielnie zorganizować sobie warunki do dokonania czegoś, na co nikt wcześniej ani śmiał się porywać. Hook znał historię i wiedział, że ta druga możliwość stanowiła niegdyś genezę zawiązania się organizacji tropiącej stwory, która w końcu zaczęła się dzielić na poszczególne cechy. Jedne z czasem zostały wchłonięte przez państwowe siły zbrojne, drugie, trwając w niezależności, w pewnym momencie poszerzyły swoją działalność o poszukiwania skarbów czy przygód. Ot, kucyki mające jakiś wspólny cel połączyły siły, by ów cel osiągnąć – ten idealny, pozornie nieistniejący, prawdziwy sens w życiu.

Historia cechów łowców potworów i nagród, jak również wykształcanie się kolejnych gildii najemniczych, to materiał na inny, choć równie obszerny wykład. Podobnie zresztą jak dzieje powolnej degeneracji tych organizacji – długie lata ciężkiej pracy niegodziwych kucyków na to, by całe środowisko było postrzegane jako zwykli mordercy i łupieżcy.

Nieparzystokopytni bardzo długo byli w tych kwestiach podzieleni, aż ostatecznie ta część łowców, która pozostała wierna starym zasadom, ukryła się i w tajemnicy przed światem kontynuowała misję. Reszta zaś działała w podziemiu, psując państwo i wykorzystując jego słabości. Z czasem najemnicy przestali być kojarzeni z jakimkolwiek etosem, czy tłem historycznym – mówiono, poniekąd słusznie, że to sprzedajni rabusie, którzy za pełny miech i obronę wieś, i potłuką farmerów, zależy kto będzie zleceniodawcą. Dla współczesnego kucyka nie było to nic dziwnego – bo przecież wynikało z definicji – lecz gdyby ów stan rzeczy ujrzał ktoś z dawnych czasów, rzekłby, iż był to smutny upadek niegdyś zanego środowiska.

Działając w szeregach gwardii królewskiej, co ocenił jako najbliższe temu, czym naprawdę chciał się parać, jednorożcowi udało się położyć kres wielu niegodziwościom, przy okazji docierając do różnych notatek i dzienników, które rzuciły więcej światła nie tylko na różne koneksje, ale także zaginione przed laty artefakty, czy co niebezpieczniejsze stwory. Nic dziwnego – poza tym, że się kryli, łowcy w większości działali na własne kopyto, bardzo rzadko podejmując zlecenia, zatem różne kucyki zaczęły prosić najemników, aby utłukli lichy, które zaległo im się za miedzą.

Magnet Hook, chociaż nie był to szczyt jego marzeń, bardzo aktywnie uczestniczył w kolejnych kampaniach przeciwko szajkom przemytniczym i najemniczym. Zawsze nosił przy sobie dziennik, w którym trzymał kopie czyichś notatek, a także swoje własne wnioski czy szkice. Dzisiaj, stojąc rozpostartym nad mapą oraz dostarczonymi przez gońca sprawozdaniem, co rusz sięgał do swych obszernych zapisków, poszukując podobnych rzeczy oraz dodatkowych wskazówek, które pomogłyby w połączeniu ze sobą kilku spraw. Nie obchodziło go, czy napisał o czymś pół roku, rok, a nawet i pięć lat temu – wszystko mogło być istotne.

Oczywiście, gdyby znajdował się w Canterlocie, w wielkiej królewskiej bibliotece, natychmiast uzyskałby wszelkie interesujące go informacje o kucoperzach czy potworach, którym warunki panujące w zachodniej Equestrii mogłyby sprzyjać. Kto wie, może nawet mógłby z powodzeniem ubiegać się o audiencję, aby sama Celestia, bogata w doświadczenie z magią i potworami, mogła udzielić swemu wiernemu wojskowemu rad? Niestety, będąc tak daleko od stolicy, musiał improwizować. Odnalazł w swym dzienniku stare meldunki oraz kopie raportów o zabitych stworach, z których wytypował trzy, po czym zaczął szukać powiązań z opisanymi przez badaczy śladami.

Po jakimś czasie Hook doszedł do wniosku, że znalezione ślady nie mogły należeć do kucoperzy. Pozostałości po magicznym ogniu, być może również porzucony ekwipunek, były wszystkim, co zostawili po sobie tajemniczy złodzieje owoców. Ale do czego mogły należeć ślady kopyt? Po wnikliwej analizie porucznik postawił na chochlika – stworki te lubiły kraść magom energię, więc niewykluczone, że aura płomiennych kucoperzy przyciągnęła jakiegoś

osobnika. Jednakże wydało mu się to mało prawdopodobne, by tak daleko w nieznane zabrnął pojedynczy stwór. Czyżby zabłądził?

Ogier miał nadzieję, że badacze nie popsuli śladów i że kiedy przybędzie na miejsce, uda mu się poszukać wokół odcisniętych w ziemi kończyn pyłu, sugerującego trzepot małych skrzydeł. Było to bardzo naiwne – jeżeli nie kucyki, wówczas poranny wicher najpewniej już dawno rozwał pyłki, lecz Hook liczył, że jednak coś znajdzie. Chochliki, podobnie jak ich bliscy krewni, Chowańce, lubiły podskakiwać, pomagając sobie małymi skrzydełkami. Gdyby udało się znaleźć dodatkowe ślady w takiej oto postaci, jednorożec mógłby odetchnąć z ulgą, gdyż nie był to żaden przeciwnik dla gwardzistów.

Swe tezy, wnioski oraz sugestie, Magnet Hook zawarł w szybkim raporcie, który zdał u swego kapitana. Niedługo po tym ogier wrzucił coś na ruszt, choć w taki upał apetyt zbytnio mu nie dopisywał. By w spokoju strawić posiłek, udał się na spacer po mieście. W ten sposób mógł jednocześnie odpocząć i osobiście przyjrzeć się czy w Vanhooverze rzeczywiście panował spokój, czy szkody były naprawiane, wreszcie, czy potrzebującym kucykom udzielono właściwej pomocy.

Jak się okazało, nie był to do końca przemyślany ruch, gdyż przybywający z informacjami goniec miał mały kłopot z szybkim odnalezieniem porucznika. Zdążył zdać relację kapitanowi, a ponieważ Magnet Hook stał na czele specjalnego zespołu i miał niebawem wyruszyć w teren, ze wszystkimi ustaleniami musiał zapoznać się osobiście. Jednorożec nie przypuszczał, że skrzydlaty wysłannik zjawi się tak szybko, lecz gdy poznał w nim starego znajomego, na jego pysku zagościł serdeczny uśmiech.

Odpowiedziawszy na pozdrowienie pegaza, Hook polecił udać się do mniej hałaśliwej lokacji, by w spokoju zamienić kilka słów. Padło na niewielki park, tuż za piekarnią i sklepem wielobranżowym. Panowie znaleźli ustronne miejsce, gdzie najmniej rzucali się w oczy, po czym przeszli do rzeczy.

– Niestety, poszukiwania niewiele dały, wręcz nas naraziły – zrelacjonował pegaz. – Szczęśliwie, ci degeneraci nie mieli w zanadru nic wrednego.

– Ale co dokładnie masz na myśli?

– Rzeczywiście, natrafiliśmy na pióra, dużo piór. Kazaliśmy psom węszyć, no i psy wywęszyły. – Ogier odchrząknął. – Wyprowadzili nas na północ, tak daleko, że aż poczuliliśmy mroźne wichry. Podążamy tropem, znajdujemy głaz, a pod nim liścik!

– Liścik? – zdziwił się porucznik.

– „Żryjcie gówno, skurwysyny! Bez poważania, S.” Tylko cytuję.

Usłyszawszy treść pozostawionego na miejscu listu, jednorożec skrzywił się i zmarszczył brwi, wdychając przy tym przeciągle. Potrząsnął z lekka głową, nie bardzo wiedząc jak to skomentować, o ile w ogóle.

– Trop był fałszywy. Od początku mieliśmy tam pójść, tylko po co? Pierwsza myśl to zasadzka. Druga, że pod naszą nieobecność znowu ktoś zaatakuje miasto. Co za ulga, że jednak nic takiego nie miało miejsca.

– Rozumiem. – Hook spojrział na rozmówcę nieco surowiej. – Wciąż, to dosyć dziwne. Chyba, że ktoś pokrzyżował komuś szyki. Jak z tymi kucoperzami.

– Wiadomo już coś? Znaleźli ślady? Co to za jedni? – dopytywał się młody pegaz.

– Powoli. Przede wszystkim, tak, znaleźli ślady. Niebawem jadę na miejsce wy badać to i owo. Poza tym, nasi natrafili na jeszcze jeden trop. Na mój rozum to chochlik – wyjaśnił porucznik, wodząc bordowymi patrzalkami między gońcem, a przechodzącymi nieopodal kucykami. – Mam jeszcze kilka mniej prawdopodobnych hipotez, ale możliwe, że na własne kopyto znajdę nowe poszlaki, które umknęły badaczom. W każdym razie, niewykluczone, że jakaś zasadzka była, tylko...

– Potwory? Tak pan myśli?

Skinąwszy głową, Magnet Hook zaczął bez wyraźnego celu snuć się po okolicy. Przez pewien czas milczał, pozostając w zagadkowej zadumie, a gdy wreszcie zwrócił się do swojego skrzydlatego towarzysza, wyglądał wręcz na przybitego.

– Kiedy ja naprawdę wolałbym uganiać się za bestiami z piekła rodem – rzucił, ze zrezygnowaniem kręcąc głową. – Sądziłem, że służba w królewskiej gwardii to ochrona Equestrii nie tylko przed najeźdźcami, ale i tym, co czyha w dziczy, daleko poza granicami cywilizacji. A tymczasem... Ech! – ogier znów westchnął, po czym ospale przycupnął na ławeczce. – Walczymy przeciwko naszym własnym obywatelom. Rozumiesz?

– No, wie pan, panie poruczniku... – zaczął niepewnie pegaz. – Moja babcia zawsze powtarza, że najgorsze bestie to się kryją w niektórych kucykach – powiedział, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Nie zrozum mnie źle, ale urodziłem się zbyt późno. Wiele, wiele lat temu, kiedy istniały legendarne cechy łowców potworów, bez mrugnięcia okiem zaciągnąłbym się do któregoś z nich. A dzisiaj? – zastanawiał się na głos Magnet Hook, choć natychmiast, jak zamknął usta, kilku wypowiedzianych słów pożałował. Ale tylko odrobinę.

– Panie poruczniku, niewykluczone, że jeżeli najjaśniejsza Celestia istotnie uzna, że Equestria ma problem z dzikimi bestiami, może... – ogier przełknął ślinę. – Może po zduszeniu rewolucji i zakończeniu kampanii na południu powoła nową jednostkę? Taką do walki z potworami?

Hook uśmiechnął się pod nosem, jednocześnie parszcząc z niedowierzaniem. To było zbyt piękne, by być prawdziwe, choć powiadali, że jeśli uwierzy się w coś wystarczająco mocno, to się ponoć spełnia. Księżniczka Celestia, uświadomiwszy sobie nowe zagrożenie, powołująca nowy, specjalny oddział, gdzie doświadczenie w walce znaczyło tyle samo, co wiedza o magii?

Tak, chyba warto było wierzyć.

* * *

Niedługo przed godziną trzynastą porucznik Magnet Hook był już na miejscu. Natychmiast jak tylko się zjawił, badacze oraz towarzyszący im gwardziści zaznajomili go z nowymi znaleziskami. Nie było ich wiele, lecz każde z nich mogło stanowić nową wskazówkę, a nawet wiarygodną podpowiedź, decydującą o tym, by już teraz jakąś tezę skreślić bądź dalej się jej trzymać.

Poczynając od pierwszej, dosyć makabrycznej poszlaki, oględziny prochów doprowadziły do czyichś szczątków, fragmenty ciał znajdowały się również na wewnętrznych powierzchniach pancerzy. Przetrwało trochę włosów. Badacze bezsprzecznie ustalili – z czym porucznik nie zamierzał polemizować – że musiało dojść do śmierci od magicznego ognia, lecz niemalże całkowite spopielenie sugerowało kompletny proces, niezależny od woli ofiary. Zupełnie jakby te istoty uległy samospaleniu.

Hook czytał już o takich przypadkach. Dawno temu w Equestrii występowały demony, które ulegały samospaleniu gdy zadano im odpowiednio duże rany. Mówiło się, że w ten sposób ich duch trafiał z powrotem do czeluści Tartaru, choć inni spekulowali, że był to ostatni, desperacki atak – zginąć, a przy okazji zabrać ze sobą swego kata.

Ustalono, że spopieleniu uległo troje istot. Wciąż poszukiwano szczątków, na podstawie których można by wprost stwierdzić, czy ofiarami swej własnej, nieokiełznanej mocy padły tajemnicze kucoperze, czy też coś innego. Na przykład to, co zostawiło inne ślady, ciągnące się aż z dzikiego, niezbadanego zachodu. Drugim tropem były fragmenty sierści odnalezione na szlaku wydeptanym przez wspomniane ślady. Z całą pewnością nie należały one ani do zwyczajnego kucyka, ani do chochlika, co pozwoliło obalić jedną z hipotez. Trzecim i najbardziej interesującym znaleziskiem była niewielka, ukryta głęboko w przygranicznej kniei skrytka, w której znaleziono owoce oraz rozmaite soki. Oprócz tego, odkryto tam składzik na pancerze, a także kolejne ślady kopyt.

Magnet Hook z zainteresowaniem oglądał najnowsze szkice, co jakiś czas kiwając głową na wyjaśnienia słowne, których udzielał mu jeden z badaczy, też jednorożec. Ów jegomość świat oglądał zza okularów, choć w jego grzywie dało się odnaleźć siwe pasma, na pysku próżno było szukać zmarszczek czy innych znaków czasu, co zapewne było sprawką ostatnich dokonań kosmetologów.

– Cały czas porównujemy te ślady, ale jesteśmy pewni, że nie należą one do istot reprezentujących ten sam gatunek. Szczerze, to ja też myślałem o chochlikach albo chowańcach, tylko ta sierść, rozumie pan...

– Uhm – mruknął Hook, nie odrywając wzroku od rysunków.

– Jeden z kolegów zasugerował satyrę. Wydaje się to niegłupie, tylko jest pewien problem. Nie potrafię sobie wyobrazić, dlaczego jakiś satyr miałby pomieszkiwać w tej dzicy, a już tym bardziej zaglądać do nas, akurat tutaj. To zupełnie nie jest ich środowisko – mówił dalej badacz.

– Ktoś mógł bawić się czarami przywołującymi. Chociaż z drugiej strony te zaklęcia działają na grupy stworzeń, nie na pojedynczych osobników – skomentował ogier o białoczerwonej grzywie. – Chyba, że przywołuje się kogoś imiennie. – Hook przystopował na moment i poskubał się w brodę. – Albo jednak od początku ciągle chodzi o te kucoperze. Może ta dziwna magia, ta energia, oprócz ognistej aury, powoduje jakieś przemiany? Mutacje?

– To mogłoby oznaczać czyjąś ingerencję. Na przykład maga-alchemika.

– Prawda. – Hook skinął głową. – Przeszukaliście już całą skrytkę?

– Jeszcze nie. Sprawdzamy teraz czy gdziekolwiek znajdują się jakieś sekretne pomieszczenia, może nawet tunele.

– Skąd pochodzą znalezione łupy?

– Część jest z Vanhooveru, ale reszta? Na razie nie wiemy.

Ciemnooki jednorożec skinął głową raz jeszcze, po czym udał się w stronę rzecznej kryjówki. Badacz cały czas mu towarzyszył, dzieląc się osobistymi spostrzeżeniami oraz co śmielszymi tezami kolegów z zespołu. Bardzo długo Magnet Hook słuchał go z uwagą, nie wtrącając żadnych swoich komentarzy, aż w pewnym momencie coś zaskoczyło mu w głowie. Przypomniał sobie pewną rzecz, na którą się uśmiechnął, potem pokręcił głową z politowaniem, lecz równie szybko spowaźniał i zatrzymał się. Przez pewien czas dumał nad tym, czy jego myśl wcale nie była taka głupia, jak to początkowo ocenił.

Zachowanie porucznika nie umknęło jednorożcowi w średnim wieku. Badacz odruchowo urwał wypowiedź, skupiając uwagę na swym rozmówcy. W ciszy czekał na jakieś wyjaśnienia, cóż to za błyskotliwa myśl przyszła dowódcy do głowy, aż ten nagle zastygł w pół kroku i zaczął błędzić oczami po okolicy.

– Wydało mnie się to niemądre, ale... – zaczął Magnet Hook, choć niepewnie. – No cóż, powiem. Pomyślałem o mojej córeczce. Lubi gdy czytam jej baśnie do poduszki. Mała nie boi się ani kurołiszków, ani gargulców, nawet wyjów czy zwierzołaków, uwierzy pan? Ona przy tym zasypia.

– Domyślam się, po kim ma tę odwagę, sir. – Badacz uśmiechnął się i łypnął okiem. – Wyobrażam sobie także co musi myśleć pan, czytając te historie, a wiedząc to i owo, jak to z niektórymi potworami bywa naprawdę – dodał po chwili, wyczuwając rozluźnienie atmosfery.

– Czasami czytam na głos kolejne opowieści nawet nie zauważając, że mała już śpi. W taki oto sposób natrafiłem niegdyś na opowiastkę o dwunastym, leniwym pieśniarzu. Ekhm! – porucznik odchrząknął. Znów poczuł się niemądrze, przywołując byle baśń w tak poważnych okolicznościach, ale postanowił kontynuować. – To historia kapryśnej

księżniczki, którą w trudnych chwilach uspokajały pieśni. Mieli je dla niej wykonywać pieśniarze, było ich dwunastu, po jednym na każdy miesiąc. Każdy z nich grał na innym instrumencie – opowiadał jednorożec. – Niestety, pewnego razu jeden z nich postanowił wymigać się od obowiązków.

Smoke Candle wykorzystał moment, by przetrzeć swoje okulary. Słuchał porucznika z uwagą, pomału domyślając się do czego zmierzał. Nie minęło wiele czasu, zanim przypomniał sobie, iż owa baśń już kiedyś obla mu się o uszy.

– Rozzłoszczona księżniczka odebrała zamieszkującym las zwierzętom zimę i rzuciła na nie klątwę, tworząc kilka maszkar. Driady, które opiekowały się tymże lasem, ukarały dwunastego pieśniarza, przemieniając go we włochacza. To istota podobna do kucyka, ale wyższa, z dłuższymi uszami oraz o spiczastym nosie. Niemalże cała jest pokryta gęstą, ostrą sierścią – ciągnął dalej Hook. – Według baśni, jeżeli wędrowiec natknie się na miejsce, do którego nigdy nie przychodzi zima i usłyszy melodię wygrywaną na dzwonkach, winien czym prędzej stamtąd uciekać. Jeżeli zaczeka do końca utworu i usłyszy głos włochacza, sam się w niego zmienia.

– Ciekawe. Wierzę, że kiedyś słyszałem podobną opowieść, a także bajkę o tych stworach. Proszę dać mi chwilę na odświeżenie pamięci. – Jednorożec niespiesznie założył na nos okulary. – Chodziło o rytuał. Otóż, według tej historii, jeśli ten, kto zapomniał o przysłudze, znajdzie się o północy w sercu lasu, w najdłuższą noc grudnia i zaśpiewa na głos „Gdzieżeś ty bywał czarny baranie” trzy razy, wówczas ze swych nor wyjdzie dwunastu włochaczy. Zaśpiewają oni pieśń. Jeśli kucyk wysłucha jej do końca, jego niedbalstwo zostanie zapomniane, a serdeczne kucyki znów zaczną go pozdrawiać. Jeśli zaś wystraszy się i ucieknie, sam zostanie włochaczem i zajmie miejsce jednego z nich. Tego, który zostanie uwolniony od klątwy – opowiedział Smoke Candle.

– Czy zatem mam rozumieć, że orientuje się pan, co to za stwory i czym się charakteryzują?

– Ależ naturalnie. – Badacz skinął głową. – Faktycznie, nietypowe ślady kopyt oraz ta sierść, pasowałyby. A przecież ani baśnie, ani bajki nie wzięły się znikąd. W istocie, większość tych opowieści między wierszami opisuje prawdziwe rytuały, przyzywające prawdziwe stwory. A nierzadko groźne bestie – dodał.

– Od czasu do czasu zastanawiam się, które ballady mogły zostać zainspirowane tymi baśniami. Interesujące – myślał głośno Hook. – Ale to dygresja. Rzeczywiście, przyszło mi do głowy, że ktoś mógłby eksperymentować z magicznymi obrzędami. Ktoś nieodpowiedzialny... ale zarazem całkiem zdolny. I ciekawy.

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

– Owszem. W każdym razie, nie zaszkodzi sprawdzić, czy w ciągu... kilku ostatnich lat w okolicy miały miejsce incydenty związane z nielegalnymi rytuałami magicznymi, ze szczególnym uwzględnieniem tych przyzywających – oświadczył porucznik Hook. – Jeżeli owszem, trzeba będzie przeanalizować sprawozdania służb i zeznania świadków, a potem przyrzeć się podejrzanym. Może ktoś będzie coś wiedzieć. Mnóstwo pracy.

– Jeżeli mógłbym coś doradzić, może warto byłoby zwrócić się o pomoc do samej miłościwie nam panującej? – zaproponował pan Candle.

– Myślałem już o tym. Gdybym dostał tego zaszczytu, może udałoby się zaoszczędzić cenny czas – odparł ogier. – Oprócz tego, wezwiemy mieszkańców. Niech zgłaszają każde podejrzané zachowanie, każdy nietypowy widok. Cokolwiek ścigamy, może dać o sobie znać ponownie. Musimy być przygotowani.

Kucyki weszły do przeszukiwanej przez gwardzystów skrytki na owoce, odnajdując wzrokiem zabezpieczone łupy, które wciąż były katalogowane. Żywność musiała tu trafić niedawno, zważywszy na fakt, iż była całkiem świeża, zdatna do spożycia, ale elementy opancerzenia, przyrządy różnego rodzaju, odczynniki, surowce, wszystko to mogło być przechowywane od dłuższego czasu. Jakby tego było mało, najwyraźniej rzeczy te pochodziły z różnych źródeł.

Porucznik Magnet Hook rozejrzał się po kryjówce. Jego pierwszym skojarzeniem była naturalna grotę, swego czasu przekształcona w miejsce, w którym ktoś mógłby sobie zamieszkać. Świadczyły o tym meble oraz znajdujące się tu i ówdzie przedmioty codziennego użytku. Zapytany o tę kwestię badacz oznajmił, że owszem, jest brana pod uwagę teza, jakoby nie tak dawno temu pomieszkowały tu jakieś kucyki, zaś po tym, jak zostały stąd przepędzone, norę przekształcono w skrytkę. Możliwe, że do niedawna zatrzymywali się tu myśliwi czy podróżnicy.

Gwardziści ostrożnie sprawdzali ściany oraz podłogę, w poszukiwaniu jakichś ukrytych przejść. Jeżeli istotnie gdzieś znajdowały się kolejne rozwidlenia groty, a może nawet zejście do głębszych podziemi, wówczas należało przerwać poszukiwania, zabezpieczyć skrytkę i poinformować o zaistniałej sytuacji głównodowodzących. To do nich należała decyzja czy przejście zaplombować, czy też wysłać do podziemi większy oddział, by zbadać dokąd prowadziły tunele.

Magnet Hook zaczął przypominać sobie wszystkie informacje o kucoperzach, które zdążył poznać. W duchu ucieszył się, gdyż odnalazł pewien promyk nadziei. Rzeczywiście, powszechnie wierzyło się w przeogromny apetyt tychże istot, ukierunkowany głównie na owoce oraz naturalne soki. Osobiście wolał to, niż scenariusz wedle którego miały się ziszczyć wierzenia kucyków minionych epok – apetyt na krew oraz mięso nieparzystokopytnych.

Część podań mówiła o specyficznej magii dostępnej tylko dla kucoperzy, choć różne dokumenty zapewniały, iż istoty te nie były w stanie korzystać z tego rodzaju energii. Ostatnie wydarzenia wydawały się uwiarygadniać te pierwsze źródła, chociaż i to należało dokładnie zbadać. Z jakiegoś powodu Magnet Hook nie chciał uwierzyć, że była to ich naturalna moc. Wprawdzie zanim ktokolwiek zjawił się na miejscu, płomienna aura już się ulotniła, czyniąc niemożliwym zbadanie jej widma, ale jednorożec wychodził z założenia, że

gdyby istoty te istotnie dysponowały taką mocą od zawsze, księżniczka Celestia już by coś wiedziała. Może nawet potrafiłaby to wyczuć, jako alikorn?

Jednakże idąc tym tropem dalej – nawet jeśli magia ta nawiedziła ciała i umysły kucoperzy niedawno, może i czysto spontanicznie, czy wówczas już tego panująca nad słońcem nie powinna odczuć? Chyba, że energia ta była sztucznie wytworzona. Ale jak? Przez kogo? I co najważniejsze, po co?

– Uwaga, coś znalazłem!

Zawołanie jednego z gwardzystów natychmiast zwróciło uwagę wszystkich obecnych w skrytce. Kucyki czym prędzej popędziły w stronę zbrojnego, który ostrożnie zdejmował z wnyki metalową płytę.

Jak się okazało, ktoś przytroczył do skały coś w rodzaju siatki, w której umieścił niewielkie skały, całość dodatkowo obsypał pyłami, aby nadać przykryciu bardziej naturalnego wyglądu. W ciemnościach nie szło dostrzec różnicy. Po drugiej stronie odnaleziono płytę, za którą znajdowała się całkiem głęboka nisza. Wewnątrz znaleziono pergaminy, a także magiczne drobiazgi, głównie zaklęte prostymi czarami pierścienie, naszyjniki oraz szlachetne kamienie.

Porucznik Magnet Hook polecił zabezpieczyć wszystkie pomniejsze artefakty, a także szybko określić ich właściwości wynikające z rzuconych zaklęć. On sam, w towarzystwie gwardzystów oraz Smoke Candle'a zabrał się za rozwijanie zwojów.

Oczom ogierów ukazała się mapa. Przedstawiała ona zachód Equestrii, a także ziemie znajdujące się za tą właśnie granicą. Co ciekawe, różnymi kolorami zaznaczono na niej tunele. Jednorożec uśmiechnął się na myśl o zaoszczędzeniu czasu i zaniechaniu ryzyka, lecz prędko uświadomił sobie, że ktoś być może będzie musiał zejść do głębin tak czy inaczej – choćby po to, by potwierdzić istnienie poszczególnych tuneli.

Kolejne zwoje przedstawiały w szczegółach określone regiony kraju. Bardzo dokładnie zaznaczono interesujące miejsca, ukryte w lasach czy innych zakamarkach. Zapiski mówiły o obszarach występowania rzadkich ziół, potworów oraz owoców, a to wystarczyło, by powiązać mapy z kucoperzami, choć z drugiej strony część znalezisk mogłaby świadczyć o tym, że wcześniej kryjówka ta należała do kogoś innego. Porucznik miał wielką nadzieję odnaleźć jeszcze jakiś dziennik, pamiętnik, cokolwiek, co pozwoliłoby mu spojrzeć na tę tajemnicę z perspektywy jej uczestnika, lecz póki co, to było wszystko.

Odkrycie to sprawiło, że Magnet Hook na moment zapomniał o trwającym w kraju buncie, atakach na Vanhoover i Manehattan, nie wspominając o wojskowych, którzy zachodzili w głowę kiedy i gdzie wybuchną kolejne bitwy. Co gorsza, przywódczyni

rebeliantów wraz ze swoimi prominentnymi współpracownikami pozostawała nieuchwytna, ba, przypuszczalnie na wolności przebywały dużo liczniejsze szeregi buntowników, niż można by sądzić po nieudanym natarciu na Vanhoover. Dziesiątki, a może i setki kucyków, przemykających tuż pod okiem służb, wyczekujących sygnału do ataku, kiedy tylko siły Pani Dnia opuszczą gardę. To było jak przechadzanie się po polu minowym bez znajomości zakłębionych zabezpieczających czy lokalizujących.

Im dłużej badał tę sprawę, tym mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że incydent z kucoperzami był oddzielną sprawą, zaś jeżeli istotnie po Equestrii grasowały sobie potwory, to może istniała jeszcze trzecia strona, która w jakiś sposób tym dyrygowała. Z jakiegoś powodu Magnet Hook zaczął mieć wątpliwości, czy ściganie rebeliantów winno mieć najwyższy priorytet. Ogier był totalnie zdezorientowany. Co tu się u licha działo?

* * *

Dochodziła piętnasta kiedy zbrojni zaczęli szykować się do drogi. Na wieczór mieli oni dotrzeć do bazy w Spring Lake i zbadać panującą tam sytuację. Jeżeli na miejscu wciąż znajdowali się jacyś rebelianci, gwardziści mieli ich pojmać i udaremnić jakikolwiek wredny plan, który mieli w zanadrzu. Nie działali sami, bowiem towarzyszyć mieli im łowcy, którzy pozostawali pod jurysdykcją dowództwa sił królewskich. Niestety, kucyki te wciąż były mocno poturbowane i osłabione, przez co podawano w wątpliwość sens angażowania ich w dalsze działania. Jeżeli wojskowi chcieli mieć na oku tych, którym nie ufali, dlaczego nie zostawić ich w mieście? Wszakże na miejscu nie brakowało zbrojnych, którzy mogli ich przypilnować. Zwłaszcza, że niepokornym łowcom z pewnością dużo łatwiej było zbiec w trakcie akcji, aniżeli z silnie strzeżonego Manehattanu.

W podjętej decyzji trudno było doszukiwać się czegoś innego niż planu pozbycia się kłopotliwych kucyków bez brudzenia sobie kopyt. Ranni gwardziści mogli pozostać w mieście i wracać do zdrowia, co niektórym wydano nawet przepustki. W ciągu trzydziestu minut do Manehattanu miały dotrzeć oddziały wsparcia, by wypełnić luki w obronie. Wraz z nimi mieli przybyć dodatkowi medycy oraz badacze, gdyż podczas ostatniej bitwy pozyskano wiele intrygujących próbek. Łowcy tak czy inaczej musieli nadstawiać karku. I to wobec dosyć niejasnego zagrożenia czyhającego na nich w Spring Lake.

Chociaż wielu mieszkańcom Manehattanu było to obojętne, gdyż ci chcieli przede wszystkim spokoju, wydawało się, że większość, choć nieznaczna, kręciła nosem na chłód ze strony królewskiej gwardii. Przypominało to świadectwa różnych kucyków, powątpiewających w moralność czy czystość intencji sił zbrojnych jaśnie Celestii. Były to opowieści o samowolce na poszczególnych szczeblach przywódczych, bezwstydnym wykorzystywaniu swej pozycji oraz siły, niekiedy nawet wspieraniu lokalnych bonzów czy przyjmowaniu łapówek. Niestety, zwykle nie zadawano sobie pytań, czy to mogła być prawda i jaka była skala szkodliwości społecznej takich incydentów.

Łowcy walczyli z gwardzistami po jednej stronie, przeciwko przerażającym bestiom oraz potężnej magii śmierci. Jaki mogliby mieć w tym interes poza tym, by zapewnić o swojej niewinności i przyjąć na siebie odpowiedzialności, tym samym zyskując w oczach księżniczki Celestii? Gdyby ich intencje były złe, z pewnością zajęliby się sabotażem, łupieniem, czy innym mąceniem, wyłącznie dla własnych korzyści. A tymczasem próżno było szukać jakichkolwiek niecných pobudek w ich działaniach.

Ci, którzy mieli już nieprzyjemności w związku z bezwzględnością służb państwowych, spodziewali się, że zbrojni w końcu użyją przemocy i to bez jakiegoś konkretnego powodu. Część łowców się podporządkuje, a część sprzeciwi, co przypłaci zdrowiem, a może nawet życiem. Świadkom natomiast, zabroni się o tym mówić pod groźbą represji. Nie będzie można wypowiadać na głos wątpliwości czy zadawać trudnych, niewygodnych pytań.

Jakby tego było mało, po mieście krążyły plotki o wzajemnych podejrzaniach wśród dowódców. Mówiło się o niskich morale żołnierzy, zastanawiano się też, czy w razie najgorszego nadal będą wykonywać rozkazy. A jeśli opuszczą pole bitwy? Kto wówczas będzie bronić cywili? Czy wybuchnie kolejny bunt? Wydawało się, że w całym tym szaleństwie lepsza była walcząca z rebeliantami gwardia, ze wszystkimi możliwymi skazami na swym dorobku, niż gwardia pogrążona w niezgodzie, nieobecna tam, gdzie przelewano krew niewinnych. Nikt nie chciał kolejnej frakcji bez opamiętania tłukącej się z pozostałymi.

Poszukując normalności i spokoju, część kucyków oddawała się rutynie, uparcie funkcjonując tak, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Większość trwała w strachu przed tym, co mogło nadejść, w związku z czym, z godziny na godzinę, coraz więcej kucyków decydowało się na przeżywanie tych dni tak, jakby były to ich ostatnie. Zwaśnieni krewni godzili się, niezdecydowani wykładali na stół pieniądze, by zafundować sobie to, o czym od dawna marzyli, a zakochani spieszyli do siebie, by skonsumować swój związek. Chciano spędzić ze sobą jak najwięcej czasu, powspominać czy popróbować różnych rzeczy. Jakby jutro miało nigdy nie nadejść.

W tym sensie, w mieście zapanowała wyjątkowa atmosfera – wszechogarniające poczucie, że prawa i regulacje nie miały już znaczenia, a każda minuta była na wagę złota. Każde, choćby najprostsze sprawy, były jak doświadczenie życia. Czy można było mówić o radości? Możliwe.

Niestety, nie wszystkim udzielał się ten stan i nie wszyscy byli gotowi jak gdyby nigdy nic oddać się rutynie. Były to kucyki, którym czegoś lub kogoś brakowało. Zawieszone gdzieś pomiędzy, nie mogąc wrócić do codzienności, ani zapalać słodką beztroską, były wystawione na strach przed najgorszym, na okrucieństwo tego mrocznego czasu, co mogło odcisnąć na nich piętno już na zawsze.

Jednym z tych kucyków była Subtle Whispy. Pełna gniewu na zaistniałą sytuację, rozczarowana swym losem, ale również przestraszona tym, co mogło nadejść, znów zajrzała do młodszych sióstr. Nie była pewna, czy musiała komuś się wygadać, czy też po prostu potrzebowała towarzystwa. Silkflake – nie po raz pierwszy zresztą – czuła z jej strony dziwną niechęć, toteż ostentacyjnie unikała siostry, lecz Rosemary zносиła wszelkie humory i jednej, i drugiej. Nie szczędziła im swej uwagi czy empatii, chociaż niekiedy sama miała ochotę krzyczeć.

Indygowa klacz ziemską od jakiegoś czasu była srogo skłócona ze Sparkling Ember, najstarszą z czwórki rodzeństwa i nie zamierzała się z nią widywać. Wszystko przez trwający w Equestrii zamęt i to, jak, cytując samą Whispy, „wycwanili się” jej siostra oraz szwagier. Chodziło o to, że nim wydarzyło się najgorsze, a niedługo po tym, jak rozpoczął się pobór rezerwistów oraz kwalifikacje wojskowe, Ember zapewniała, że gwardia nie powoła do swych szeregów ani Wealth Multipliera, ani Heavy Blare'a, ani Hazela. Mówiła: „Jak tylko zobaczą jacy z naszych mężów wojacy, to...”. Co się okazało? Powołano wszystkich. Uznano, że będą przydatni, a zdrowie mieli wręcz znakomite do bitki. I kiedy przyszło co do czego, jeden z nich uniknął losu żołnierza. Wealth Multiplier po prostu się wykupił.

Rosemary natychmiast poczuła, że musiała pogodzić ze sobą siostry. Jeżeli nie ona, to kto? Chciała wystąpić jako mediatorka, jak to zwykle miało miejsce. Tymczasem niechęć tylko pogorszyła sprawę. Rozmawiała ze Sparkling Ember, a ona przyznała, że Multiplier chciał solidarnie wypełnić swoje obowiązki, lecz namówiła go, by się wykupił, skoro miał taką możliwość. On sam twierdził, już w cztery oczy, że Ember na wieści o wojsku zareagowała histerycznie, zaś jemu wydało się to o tyle przerażające, o ile klacz naprawdę sprawiała wrażenie, że mogłaby sobie zrobić krzywdę, gdyby sprawy poszły nie po jej myśli.

Kiedy Subtle Whispy się o tym dowiedziała, zapalała jeszcze większą złością. Jak to – najpierw siostrzyczka zapewnia, że nie ma o co się obawiać, a kiedy okazuje się, że jednak jest, żąda od męża, by się wykupił? Zapominając przy okazji o siostrach i o tym, że one też miały mężów, o których bardzo się bały? Dla Whispy sprawa była jasna – jej starsza siostra czuła się lepsza, bo Wealth Multiplier był bardziej majątny, a jednocześnie nie była taka skora do podzielenia się czy to pieniędzmi, czy wpływami, aby pomóc.

Nie trafiały do niej żadne argumenty. Ani to, że Multiplier, ze swej perspektywy, najprawdopodobniej mógł wykupić tylko siebie, ani to, że prawo w tym zakresie było dosyć sztywne, zatem szybkie transfery dużej gotówki byłyby mocno podejrzane, ani nawet to, że gdyby to tylko od niego zależało, ogier nie podjąłby takiej decyzji. Ze swego czasu Multiplier wspomógł finansowo promocję wydawnictw wytwórni prowadzonej przez Subtle Whispy oraz Heavy Blare'a, zaś innym razem podpowiedział Hazelowi w co można by zainwestować, o tym Rosemary nawet nie myślała wspominać. Starsza siostra była wystarczająco rozgoryczona i nie chciała jej jeszcze bardziej rozjuszyć.

Tykanie zegara zakłócało dosyć nerwową ciszę, w miarę jak Whispy pochłaniała tabliczkę gorzkiej czekolady, popijając przy tym czarną kawą. Rosemary była przygotowana na kolejną sesję wylewania swoich żali, pretensji oraz złości, jednak w pewnym momencie indygowa klacz posmutniała i zmieniła temat. Jak się okazało, powody jej gniewu były dużo głębsze niż na pierwszy rzut oka.

– Nie rozumiem, jak możesz tu tak spokojnie sobie siedzieć. Ja od zmysłów odchodzę! – żaliła się klacz. – Nie śpię po nocach. Cholera, schudłam już chyba z pięć kilo. Naprawdę źle się czuję. Odwołałam spotkania, kontrakty, nie ma nic. Żadnych płyt, żadnych nagrywek, studio zamknięte.

– Wiesz, wprawdzie nie otrzymałam żadnej wiadomości bezpośrednio od Hazela, ale... – zmieszana Rosemary przełknęła ślinę. – Ale zebrałam się i poszłam sprawdzić nekrologi. Nie ma tam Hazela.

– A ty naprawdę myślisz, że tam są wszystkie ofiary? Że niczego nie utajnili? Albo nie przemilczeli, bo być może rodziny źle to znoszą? Albo sami nie wiedzą kogo żegnają, bo po kimś dosłownie została jedna noga?

– Były osobne nekrologi i kilka zbiorczych, również list kondolencyjny.

– Do księgi się wpisałaś?

– Tak. – Rose skinęła głową, dolewając siostrze kawy. – Zginęło tak wiele niewinnych kucyków... A gwardii jestem wdzięczna. Stanęli do okrutnej walki i oddali za nas życie.

Zdania nie chciały się kleić. Ilekroć Rosemary zabierała głos, powracając myślami do tamtej strasznej nocy, przypominając sobie o wszystkich jej następstwach, język zaczynał się plątać, brakowało słów. Czuła olbrzymie przejęcie. Nie wiedziała, czy to za sprawą liczby ofiar i tego z czyich łap zginęły, czy przez ostatnią rozmowę z Vibrant Blossom.

– Nie mam odwagi sprawdzić tych nekrologów. Ani listów – przyznała Whispy.

– Powiedz szczerze. – Pąsowa klacz zmierzyła siostrę podejrzliwym spojrzeniem. – A może brak ci chęci?

– Wiesz co? – rzuciła chłodno czerwonoooka, marszcząc przy tym brwi. Powróciła do sączenia kawy z filiżanki, kiedy spłoszona Rosemary powędrowała wzrokiem w drugą stronę. – No tak, dla was to nic takiego. Albo się wycwanić, albo liczyć na cud. A jak cud, to i tak będzie po staremu. Phi!

– Jak to „dla was”? I jak to „po staremu”? – teraz to Rosemary zaczęła się denerwować. Wyczuła w głosie siostry wyrzuty.

– Wybacz, ale wielu rzeczy nie wiesz. Nie masz pojęcia, co jest grane. To jest cholernie skomplikowane.

– Skoro nie wiem, to może po prostu mi wytłumaczysz?

Zapadła cisza. Subtle Whispy stukała łyżeczką o filiżankę, beznamiętnie gapiąc się na dno naczynia. Parę razy wzdychała, raz uniosła wzrok, by przyjrzeć się Rosemary. Wyraźnie się ociągała, miała wątpliwości. A może było to nieme wołanie o pomoc, próba sprowokowania siostry, by ta zaczęła nalegać, by zrobiła cokolwiek co zmusi Whispy do mówienia?

Niestety, atmosfera była zbyt napięta. Rozmowa się nie kleiła, a kiedy Rosemary już miała otworzyć usta, rozległo się ciche skrzypnięcie i drzwi prowadzące do sąsiedniego pomieszczenia uchyliły się. Silkflake zajrzała przez szparę, zmierzyła wzrokiem otoczenie, po czym w milczeniu otworzyła drzwi na oścież i z wolna ruszyła w stronę stołu. O dziwo, przywitała się z Subtle Whispy, po czym ostrożnie usiadła obok Rosemary, uważając na brzuch i boczki.

Granatowa klacz bez pytania zaczęła zgarniać kawałki gorzkiej czekolady oraz ciasto. Początkowo Subtle Whispy chciała zaprotestować, ale ostatecznie pozwoliła siostrze zjeść pozostałe na stole słodczyce. W milczeniu sięgnęła po dzbanek, dołała sobie jeszcze trochę kawy, co Silkflake obserwowała z głodem w oczach.

- Ja też chcę się napić czarnej kawy – oświadczyła.
- Silk, rozmawialiśmy już o tym. W ciąży nie powinnaś pić kawy – odparła surowym tonem Rosemary.
- Słyszałam, że to mit. Trzysta miligramów kofeiny nie robi różnicy – powiedziała Subtle Whispy, łykając napoju.
- Ooo tak, ciebie to i trzysta gramów dziennie nie rusza! Co kucyk, to opinia, lepiej nie ryzykować – zdenerwowała się pąsowa klacz, po czym znów zwróciła się do młodszej siostry. – Herbatę z mlekiem tobie przygotuję.
- Oszalałaś? Jak będzie karmić, to wtedy – odpowiedziała ponownie Whispy.

Silkflake wywróciła oczami, po czym opadła na oparcie kanapy. Westchnęła, obróciła się na bok, złożyła przednie kopytka i wcisnęła pyszczek w poduszki, marudząc i pojękując z żalem. Zapytana przez Rosemary o to, co chciałaby wypić, granatowa klacz stwierdziła, że „niczego od niej nie chce”. Nie minęło wiele czasu zanim syknęła ze złości, by po chwili wstać i pospieszyć wrócić do pokoju. Bez wyraźnego powodu.

Rosemary zerwała się i obejrzała za siostrą, prosząc, by szła powoli i uważała na siebie, lecz ona nie posłuchała. Trzasnęła drzwiami, aż o mały włos ze ściany nie spadł obraz. Dwie siostry spojrzały po sobie, indygowa klacz uśmiechnęła się od ducha do ucha i pokręciła głową, tuż zanim uniosła do połowy pustą filiżankę.

- Różne historie słyszałam, o tym jak klacze znoszą ciążę. Nasza siostrzyczka to z całą pewnością ciekawy przypadek – rzuciła Subtle Whispy.

– Bez przesady. Bywa nieznośna, ale to na swój sposób urocze. Przyzwyczaiłam się – odpowiedziała Rosemary, czemu jej rozmówczyni nie dała zbytnej wiary. – Ma dni kiedy zachowuje się jak po staremu, ma też dni... no, burzliwe. Najgorzej jest kiedy nagle mama przychodzi na, ekhm, „kontrolę”. Łatwo nie jest.

– Taa...

Rosemary wyczuła coś niepokojącego w tonie siostry, momentalnie przypominając sobie, w którym punkcie urwała się ich dyskusja.

– Tak w ogóle, ona nadal czeka na tego...?

– Shhh! – Rosemary spróbowała uciszyć Whispery. – Ty to robisz specjalnie? Wiesz przecież, jaka ona jest na to wrażliwa.

– Nie zamierzam jej zbędnie stresować, nic a nic – zaprzeczyła indygowa klacz. – Przepraszam. Ech... – westchnęła i zmarkotniała. – Ale poważnie – rzekła, już dużo ciszej, coby Silkflake jej nie usłyszała – jak się jeszcze okaże, że ten szmaciarz do niej wróci... a ona mu wybaczy... I będą sobie wspaniale żyć...

Pąsowa klacz spojrzała na starszą siostrę spod ukosa, a ta nagle zaczęła unikać kontaktu wzrokowego. Jakby wstydziła się zwierzyć. Owszem, to nie było w jej stylu, lecz jak długo jeszcze mogła się powstrzymywać?

– Wszyscy dostaną swoje szczęśliwe zakończenie, tylko nie ja – wreszcie dokończyła, z niekrytym wyrzutem.

– Staram się to połączyć ze wszystkim, co mi ostatnimi czasy napomknęłaś – oznajmiła Rosemary. – Jednak chodzi o Blare'a? O was?

Mowa ciała czerwonoookiej była dosyć zagadkowa, ale wszystko wskazywało na to, że owszem, na rzeczy były sprawy osobiste. Mocno osobiste.

– Jak go zawinęli do woja, to tak jakoś... Ech. – Subtle Whispery skuliła się w fotelu, przednie nogi złożyła trochę tak, jakby chciała się ogrzać. – Natychmiast zaczęło mi go brakować. Nawet jakby miał tylko narzekać albo pałętać się i wchodzić w drogę. Po prostu... Coś się zmieniło. Nie potrafię tego wytłumaczyć.

– W pojedynkę ciężiej się pracuje, co? – pytała Rosemary.

– Nie, nie. Nie do końca. – Whispery westchnęła i pokręciła głową. – Dopóki był w pobliżu, czułam się lepiej. Jego obecność jakoś dodawała spokoju duszy. A nawet jak go nie było obok, ale wiedziałam, że nic mu nie grozi, czułam się po prostu dobrze – zaczęła opowiadać, jakby śmieiej, chociaż jej głos wciąż był przepełniony melancholią. – Mogłam wtedy skupić się na czymkolwiek, co miałam w głowie. Wszystko było prostsze. A teraz? Za nic się nie mogę zabrać. Nie mam ochoty z nikim się widzieć, wisi mi to.

– Widzę, że ty się po prostu boisz o jego bezpieczny powrót. Ale nie powinnaś. Musisz uwierzyć, że wszystko skończy się dobrze i że...

– Nie, nie! Nie rozumiesz! – obruszyła się indygowa klacz. – Przez ten czas myślałam o nim. I o nas. Zobaczyłam to nasze... małżeństwo i doszłam do wniosku, że... Cóż.

Tym razem Rosemary nie śmiała się odzywać. Czekwała w napięciu, obserwując zachowanie swojej siostry. Kiedy Whisper wreszcie uniosła wzrok, Rosemary wiedziała już, że tak autentycznie przygnębionej to jej nigdy nie widziała. Efektu dopełniał tusz, który pod prawym okiem zaczynał się rozmywać.

– Nie byłam fair wobec niego. Za bardzo się wkręciłam. Miało być tak, jak ja chcę i tyle. Cała ta zmiana stylu, te niszowe kapele, które troszeczkę wybiliśmy... To wszystko były moje fanaberie – wyznała wreszcie.

– Um... To miałaś na myśli mówiąc o „wychowywaniu”? Wiesz, na nowo?

– Cholera, robił wszystko pod moje dyktando, bo miałam wizję, a w ogóle nie pytałam, co na ten temat myślał. To nie w porządku.

– Ale chyba się nie skarżył, co?

– Skarżył, nie skarżył, meh... – Klacz skrzywiła się. Wraz ze smugą tuszu, po policzku spłynęła pojedyncza łza. – W końcu przestał. Wiedziałałam co do mnie czuje, parę razy użyłam tego związku jako szantażu. Mówmy po imieniu – rzekła, wycierając policzek.

Rosemary powiodła wzrokiem po stole, nie potrafiąc znaleźć żadnych słów, z których mogłaby sklecić jakąś radę. Zerknęła za siebie, gdyż była ciekawa, czy Silkflake je podsłuchiwała. Poczuła pewną ulgę, gdy okazało się, że nie.

– Bez niego cały ten pierdolnik z wytwórnią jakoś przestał mnie interesować. W ogóle, to ja go przekonałam, że jeszcze coś z tego będzie. Bo on to chciał cały ten interes sprzedać – opowiadała dalej Whisper. – Jego to już nie ruszało, ale ja nadal chciałam sobie wydawać muzykę, może i samodzielnie coś tworzyć. Pod własną banderą, wiesz. Zmieniać styl, pobyć trochę taką, o! – Klacz uniosła brodę i wzruszyła łopatkami. – Potem inną sobą, a potem jeszcze inną, jak mi natchnienie podpowiada. I tak dalej, i tak dalej...

– Wiesz, nie powiem, że czuję się zaskoczona, bo trochę się tego spodziewałam. Wiesz, te twoje stylizacje i takie tam. Ale co z Blare'm?

– Na początku de facto nie dawałam nam zbyt wielu szans. Ale nawet wyszło. Tylko, że zmusiłam go, żeby siedział w tym interesie razem ze mną, rozumiesz? Nie miał nic przeciwko, żeby się w to bawiła, ale on sam chciał się realizować inaczej. Nie pozwoliłam mu na to i tego żałuję.

– Czyli byłaś trochę zbyt zaborcza, o to ci chodzi? Tak z deczka jak... mama?

Subtle Whisper niechętnie pokiwała głową. Zmartwiona, choć nadal zdenerwowana, sięgnęła po czystą chusteczkę, by jakoś powstrzymać rozmazujący się pod okiem tusz. Rzadko kiedy miała ten problem, lecz irytował tak samo za każdym razem.

– Jeżeli jemu się coś stanie przez tę zaszraną rewolucję... odejdzie nigdy nie próbując tego, co naprawdę chciał w życiu robić. Przeze mnie – klacz pochyliła się nad stołem i złożyła przednie kopyta, za którymi schowała pyszczek. – Ale jeżeli nic mu nie będzie... Heh, nie ma co się oszukiwać, rzuci mnie. Na sto procent.

– Nie, nie mów tak! Przecież... – chciała powiedzieć Rosemary, lecz nie udało jej się dokończyć.

– Otrze się o śmierć, to dojdzie do wniosku, że szkoda marnować na mnie życie. I wiesz co? Będzie miał rację. Bez przerwy poświęcał się dla mnie, a ja? Ani razu, niczego sobie nie odmówiłam, aby go wesprzeć – wyrzucała sobie, kręcąc przy tym głową.

Po tych słowach Subtle Whispy wzięła głęboki oddech, wciąż będąc bacznie obserwowaną przez Rosemary. Wyglądała tak, jakby nieco jej ulżyło. Zgrzyty, brak zrozumienia siebie nawzajem oraz swoich dążeń, jak również momenty bardzo trudne, to wszystko przytrafiało się kucykom bez ustanku i żaden związek nie był od tego wolny. Jednakże Rose wierzyła, że zawsze były to testy zaufania, próby, po których pokonaniu stawało się silniejszym.

– Nawet jeżeli podpatrzyłam sobie zachowania matki... – zaczęła znów czerwonooka. – Po mnie miała jeszcze ciebie i Silkflake. Raczej z miłości, a nie z kapusty. To o czymś świadczy.

– Um... No dobra, teraz to mnie zaskoczyłaś. O co chodzi? – zdziwiła się Rosemary.

– Ekhm. Wolałabym tego nie rozgrzebywać. Może powiem ci co jest pięć następnym razem, albo... kiedyś. – Klacz zastanowiła się przez moment. – Ciekawe, czy czuł ode mnie bezlitosny chłód.

– Jak w tych piosenkach?

– Tam to jest tylko taka nawijka, konwencja. A to cholerna rzeczywistość. Mówię ci, ostatnio trudno mi się w niej odnaleźć. Ale chciałabym od Blare'a drugą szansę.

– Drugą szansę? Na co?

Do uszu Whispy dobiegły odgłosy kroków, gdzieś w sąsiednim pokoju. Przypomniała sobie o Silkflake. Jej najmłodsza siostra wciąż wierzyła, że ogier, w którym się zakochała, wróci cały i zdrowy. Mieli zostawić za sobą to, co najtrudniejsze i stać się rodziną. Każdego dnia wyczekiwała chwili, w której do drzwi zapuka niebieski pegaz. Reagowała alergicznie ilekroć sugerowano jej, że ta chwila mogła nigdy nie nadejść, niekoniecznie z powodu śmierci ogiera – Rosemary zabroniła wspominać o tym w obecności siostry – ale za sprawą zbyt wielkiej odpowiedzialności, jaką musiałby na siebie przyjąć. Nawet jeżeli sam tęsknił i nie znudził się klaczą, nie było pewności, że odnajdzie się w nowej roli.

Vibrant Blossom sypała jak z rękawa historiami, w których różne kucyki obiecywały swoim partnerkom wszystko, by potem z trzech czwartych tychże deklaracji się wycofać, a niedługo po narodzinach źrebięcia stanąć w prawdzie – to było dla nich zbyt wiele. Tylko nieliczni dorzucali zwykle „przepraszam”, próbując później jakkolwiek wspierać swoje

dzieci oraz ich matki. Blossom starała się ustrzec córkę przed podobnym losem. Sygnalizowała jej, że nawet gdyby pegaz wrócił, na początku mogłoby być przecudownie, a później okropnie. Chciała przygotować ją na wszystkie możliwe scenariusze, ale ona nie chciała słuchać.

Whispy zaczęła sobie wyobrażać jak silna musiała być to więź. Gdyby marzenie Silkflake się ziściło, byłaby ona żywym dowodem na to, że można. Zazdrościła siostrze jej wiary. Również chciałyby dostrzegać to, co ona, nawet w małych, pozornie niewiele znaczących rzeczach. Chociaż gdzieś w głębi siebie wiedziała, że myśl ta była podła, to jednak nie potrafiła oprzeć się temu, iż w razie bolesnego rozczarowania miałyby dziwną satysfakcję. Nie byłaby jedyną, której coś się nie powiodło. Ktoś jeszcze zostałby sam.

Tyle, że Silkflake była pewna tego, iż chciała własnej rodziny. Whispy niekoniecznie. Swoje małżeństwo widziała bardziej jako wygodny układ – z dala od apodyktycznej matki, a z możliwościami realizowania się w muzyce. Była szczerą z Blare'm, który od początku wszystko akceptował. Dopiero teraz, gdy go zabrakło, zaczęła naprawdę go doceniać. A może prócz niepożądanych zmian w życiu, obawiała się, że obce kucyki poznają prawdę?

– W każdym razie – indygowa klacz postanowiła zmienić temat – działo się coś? Mówiłaś, że spotkałyście kuzynka tego, no... – tak bardzo nie przepadała za Fenrirem, że powstrzymała się od wypowiedzenia jego imienia.

– Ano, było trochę niezręcznie. – Rose uśmiechnęła się. – Wiesz, Silkflake chciała, by wyszła z tego niespodzianka. Wszystko w swoim czasie. Powiedziała Gelgii co i jak. A teraz pewnie dobra nowina trafi do Dodge City za szybko.

– Nic z tego nie rozumiem. Po co te podchody? – Whispy sama dołała sobie kawy. – Według mnie, od razu powinna wyłożyć karty na stół. Pajac zrobił źrebie, niech się za niego dorzucają. Niech ktoś z tych wieśniaków okaże się wreszcie odpowiedzialny.

I nagle zza drzwi rozległ się głos zdenerwowanej Silkflake.

– Ja wszystko słyszę! Zapamiętam!

– Podobno im słóh cięższy, tym ma lepszą pamięć! – odpowiedziała indygowa klacz, podnosząc głos. – Mówię szczerze, nie gap się tak na mnie – rzuciła ku Rosemary.

– Taa, zazdrościsz! Blare cię zostawi i zdechniesz sama!

Skrzywiona ze złości Subtle Whispy nic nie odpowiedziała. Gapiała się przed siebie, z upływem czasu mrużąc oczy, marszcząc brwi. Kilka razy drgnęła jej powieka.

– Co, zatkało?!

– Silk, nie krzycz przez drzwi! – pąsowa klacz upomniała siostrę. – Hej, nie przejmuj się. Tylko tak gada, za moment jej przejdzie. Zresztą, przecież wiesz... – mówiła, nie chcąc, by wynikła z tego poważniejsza kłótnia.

- Niech ona już rodzi, bo... – mruknęła pod nosem Whispy.
- Byle do listopada, ale shhh! – szepnęła Rosemary.
- Naprawdę myślisz, że dzieciak ma tam kalendarz? A może jeszcze minutnik?

Indygowa klacz, wciąż skrzywiona, wzburzona nie na żarty słowami siostry, powoli mieszała łyżeczką w filiżance. Przyglądając się dokładniej, Rose odnalazła w jej ekspresji sporo bólu, przez co poczuła niemałą przykrość.

- Hej, um... – zaczęła, wciąż szepcząc. – Wszystko gra? No bo wyglądasz na...
- Gdybym nigdy nie została matką, to co, byłabym gorsza? – zapytała bez ogródek Whispy, a zza drzwi rozbrzmiał szyderczy, acz wymuszony, śmiech Silkflake.

Czerwonooka przycisnęła kopyto do blatu stołu i powoli nim przesunęła, krzywiąc się, zaciskając zęby jeszcze mocniej. Po chwili usłyszała dźwięk przekręcanego w zamku klucza. I dobrze, bo naprawdę zapragnęła wstać, pójść do pokoju i nieznośną siostrę udusić. Bolało ją. Bardzo.

- Hej... Oddychaj, co? – martwiła się Rosemary.
- Blare'owi. Byłoby przykro. Co? – wycodziła przez zęby.

Pąsowa klacz była nieźle zmieszana. Ewidentnie zachowanie Silkflake sprawiło, iż coś wewnątrz jej starszej siostry pękło. Czy o tym chciała powiedzieć „następnym razem albo kiedyś”?

- Pójdę już – rzuciła ozięble Whispy.

Wstając od stołu, indygowa klacz zawiesiła wzrok na drzwiach prowadzących do pokoju Silkflake, która w końcu przestała zmuszać się do śmiechu. Sądząc po dochodzącym zza drugiej strony mamrotaniu, nadal obgadywała siostrę, tyle, że sama ze sobą. Whispy powróciła do swych przemyśleń i odkryła, że nie czuła się już podle, nic a nic.

- A żebyś się przejechała na tym swoim skrzydlatym paskudztwie!

Wychodząc, przyspieszyła kroku. Znów rozległ się brzęk przekręcanego klucza. Teraz to Silkflake chciała ją udusić.

* * *

Niedługo po godzinie szesnastej do miasta wreszcie dotarło wsparcie. Pojawiło się znacznie później niż zakładano, z uwagi na pewne nieprzewidziane opóźnienia oraz problemy związane z przygotowaniem zaopatrzenia i odpowiedniej ilości medykamentów. Ponadto badacze w ostatniej chwili poprosili o przygotowywanie kilku dodatkowych

przyrządów, podobno absolutnie niezbędnych do właściwej analizy pozyskanych próbek, chociaż lista zawierająca wszystkie narzędzia i pomoce była w pełni sfinalizowana.

W każdym razie, najczęściej mówiło się o owych próbkach. Jak w przypadku wielu innych kwestii, do uszu kucyków dotarły najrozmaitsze plotki, zgodnie z zasadą głuchego telefonu, skacząc od kucyka do kucyka, różne informacje z każdą kolejną swoją wersją zyskiwały więcej przekłamań.

Tematy związane z magią, alchemią i potworami nie schodziły z ust młodych rekrutów, głównie jednoroźców. Ponieważ wielu z nich było świeżo upieczonymi absolwentami, ich szkolne wspomnienia natychmiast odżyły, rozbudzając wyobraźnię. Co niektórzy wkuwali do egzaminów raptem parę miesięcy temu. Kucyki te były zgodne wobec jednej kwestii – szkoła swoją drogą, a życie swoją. Zresztą do ostatnich wydarzeń w Manehattanie przygotował ich poligon, a nie sala wykładowa.

Co niektórym udzieliła się nostalgia, chociaż było to określenie mocno przesadzone, wzięwszy pod uwagę fakt jak niewiele czasu dzieliło ich od ukończenia szkoły, jednak pasowało ono najlepiej. Pograżeni we wspominkach, zatęsknili za „starymi”, szkolnymi czasami, kiedy ich zmartwienia ograniczały się do projektów, prac domowych oraz egzaminów, ewentualnie jeszcze sprzeczek z rówieśnikami.

Dowództwo pozwoliło rekrutom na nieco więcej swobody, jako że obszar nie był już zagrożony, cywilom została udzielona pomoc, a wszelkie najważniejsze zadania miały przypaść gwardii. Działalność najmniej doświadczonych kucyków sprowadzała się zatem do działań porządkowych, rutynowych patroli oraz szeroko pojętego wsparcia. W wolnym czasie po prostu przebywali w bazie, czy też przesiadywali w karczmie, zabijając czas przy kartach, warcabach lub rzutkach.

W oczekiwaniu na nowe wytyczne, Steel Horn próbował zainicjować dyskusję na temat możliwych badań, ale z jakichś powodów Gleipnirowi było to obojętne. Dosyć zastanawiające – zwykle to seledynowy jednorożec miał kłopoty, a nauka bynajmniej nie zajmowała pierwszego miejsca na liście jego priorytetów, zaś ogier z południa starał się chłonąć wszelką wiedzę jak tylko mógł, nie zbywał żadnego niuansu. A teraz kompletnie przestało go to obchodzić.

– Poważnie? Nawet jeżeli ci powiem o nasyconych prochach? Żeś chyba z tego nawet czwórkę dostał! – przypominał Steel, bezowocnie próbując zachęcić kolegę do rozmowy.

Gleipnir kręcił głową, odmawiał. Magiczne pieczęcie, widmo próbek magicznych, czy przemiany aury, nawet nasycone esencją prochy po potworach – nic go nie interesowało. Marudził i wywraçał oczami, czym Steel Horn czuł się prowokowany do dalszych zachęt. Nietypowe, biorąc pod uwagę dosyć chłodne relacje między tymi dwoma.

– Ze wszystkich bzdur, które kazali nam wykuwać, to chyba jedno z niewielu rzeczy, które autentycznie mogą się nam teraz do czegoś przydać – mówił jednorożec. – No, dalej! Naprawdę już pozapominałeś?

Ogier z południa niespiesznie dokończył posiłek. Odsunął talerz, ułożył sztucce, wytarł usta, po czym wygodniej usadowił się na krześle.

– O rezonansie energii magicznej to specjalnie nic nie mówiłem. Trója na szynach i to za którym razem? Na korki to do ilu chodziłeś belfrów?

– Sam miałeś z tego dwa, o ile mnie pamięć nie myli – rzucił Gleipnir, unosząc wzrok spod zmarszczonych brwi.

– Taa, ale to tylko ocena. A co pamiętam i potrafię zrobić, to inna bajka – bronił się Steel. – Ty! A okularnica? Chyba żeście już wtedy kręcili ze sobą, co?

Gleipnir posmutniał. Westchnął przeciągle, opadł grzbietem na oparcie i wyciągnął głowę do tyłu, tępo gapiąc się w sufit. Czas na moment zwolnił tempo, kiedy to jednorożec zaczął przypominać sobie szkolne lata, miodową klacz oraz jak wiele się zmieniło za jej sprawą. Życie nabrało znacznie głębszego sensu, a on czuł się zdopingowany, bardziej niż kiedykolwiek, by ścigać ten sens, odnajdywać kolejne cele i realizować je.

Nie sposób opisać, jak bardzo mu jej teraz brakowało. Wciąż żył i miał się dobrze, ale nie chciał opuszczać gardy. Musiał pozostać czujny na niebezpieczeństwa, wręcz oczekiwał, aż wydarzy się coś nieprzewidzianego, coś co ponownie sprawdzi jego siłę oraz wolę przetrwania, chociaż z całego serca pragnął, by konflikt już się skończył. Chciał odetchnąć pełną piersią, wrócić do ukochanej i rodziny. Myśl o tym, że lada moment mógłby ruszyć do akcji, pomagała skoncentrować się na czymkolwiek innym. Inaczej dawno by już oszalał.

Sporo kucyków nie wytrzymało tęsknoty. Ci rekruci nie potrafili zapanować nad emocjami, a widok tego, co spotkało ich towarzyszy, totalnie ich rozbił. Gleipnir trafił do mniejszości, która przez to wszystko przestała wyrażać jakiekolwiek emocje, z czasem wypierając z siebie strach. Był pogodzony z tym, że teraz wszystko się mogło wydarzyć. Czuł się trochę jak w tunelu, który lada moment miał się zawalić, lecz by przez niego przejść o czasie, musiał przejmować się tylko tym, co znajdowało się na jego końcu. To światło symbolizowało wszystko, co jednorożec pragnął odzyskać. Jeśli nie mógł się z tegoż tunelu wydostać, to przynajmniej sercem i umysłem był z bliskimi. To im dedykował swoją walkę, a niekoniecznie Equestrii, czy jakimś ideałom.

– Coś ci powiem. Widziałem gwardzystów w akcji. Nawet tych łowców, co przecież nie mają za sobą żadnej wyższej szkoły magicznej. Tylko doświadczenie.

– Ano, wiem o co chodzi. Ponoć gwardia gównianie ich traktuje, jak myślisz? – spytał seledynowy ogier, lecz został zignorowany.

– Zdałem sobie sprawę, że... – Gleipnir urwał i na moment zawiesił głos. Zawahał się.
– Zrozumiałem, że nigdy nie będę taki jak oni. Nie mam takiej mocy, ani siły...

– Pff, mieszańce tak mają! – przyganił Steel, głupawo się uśmiechając. To również zostało zignorowane.

– W bajkach bohaterowie też podejmują ryzyko, walczą z potworami. Ale to nie jest bajka. Gdy zobaczyłem jak naprawdę wyglądają bitwy ze stworami, ile potrzeba wysiłku, jak to boli i jak prędko można zginąć...

– Ty żeś naprawdę myślał, że po szkole jakimś bohaterem zostaniesz? – Steel zmierzył rozmówcę kpiącym spojrzeniem. – Bez żartów. Jeszcze teraz, to co wygadujesz, naprawdę! – Znów parsknął, zaś jego pysk zdradzał narastającą pyszałkowatość, jak za „starych” czasów. – Prawda jest taka, że jakbyś chciał przypakować, to byś zaczął ćwiczyć, jeść jak należy, pracować nad sobą. Ból? To jest drobnostka, każdy przez to przechodzi.

– Może nie pamiętasz, ale mam kłopot z kręgosłupem.

– A, tam! – Steel machnął kopytem. – Szukasz sobie wymówek i tyle. Nie żeby mnie to dziwiło, bo wszyscy wiedzą jakim jesteś mięczakiem, ale poważnie, zainteresuj się, zobacz ilu już było lotników, czy innych sportowców, którzy mieli problemy, a osiągnęli wyniki.

– Co mnie to obchodzi? Ja nie jestem nimi – rzucił gniewnie Gleipnir, od niechcenia podnosząc magią widelec, by bez celu postukać nim o pusty talerz. – Chyba już nie jest mi to potrzebne – dodał. – Po tym, co widziałem? Nie, nie zamierzam być żadnym czarownikiem. Zresztą, na samą myśl, że te bestie stworzyła magia...

– Taa, ale wiesz, że nawet tym zasnętym widelcem można posłużyć się niezgodnie z jego przeznaczeniem? – wtrącił Steel Horn.

– Widelec nie był projektowany po to, by mordować, a pewne gałęzie magii owszem. Żeby ożywiać zmarłych, zmieniać materię w bezmyślne, żądne krwi kukły. Mało brakuje, a jeszcze zacznę się tym brzydzić! – jednorożec podniósł głos, a aura wokół sztućca zniknęła. Widelec opadł z brzękiem na talerz.

Steel Horn raz jeszcze pokręcił głową, zaś Gleipnir dopowiedział kilka rzeczy. Zdaniem seledynowego kucyka, próbował on filozofować; rozprawiał o tym, co już było, ujmując nie tylko sobie, ale i pewnym ideom, ogólnie. Zastanawiał się na głos, na przykład, jaki jest cel w pogłębianiu wiedzy, skoro potęga, którą ze sobą niosła, nie wystarczała, by rozwikłać sekret wiecznego życia, pozwalala za to tworzyć istoty nieumarłe. Takie jak przegniłe zombie. Czy warto było trudzić się, poświęcać energię, zapal i czas na tworzenie rzeczy, kiedy ich niszczenie przychodziło z taką łatwością? I przede wszystkim, ile była warta siła czy to gwardzystów, czy kogokolwiek innego? Wystarczyło, by ktoś dysponował większą siłą, a Gleipnir bynajmniej nie chciał w swoim życiu przemocy, nie zamierzał też za jej pomocą rozwiązywać problemów.

Owszem, miał żal i do siebie, i do świata, gdyż zdarzało mu się próbować, brać sprawy we własne kopyta, lecz szło mu fatalnie. To nie było do końca tak, że nie ćwiczył – próbował. Może oczekiwał za wiele po zbyt krótkim czasie, a może po prostu nie miał prawdziwej woli walki. Przypomniawszy sobie, jak chciał złoić skórę Steelowi za to, że

prześladował jego i Wise Glance, a teraz ten zasiadał naprzeciwko, udzielając mu rad. I często miał rację, czego jednorożec nie chciał przyznać. A przynajmniej nie od razu.

A może po prostu znowu chodziło o to, że to Fenrir zawsze rozwiązywał problemy przemocą, a Gleipnirowi nie spieszyło mu się z nim bratać. Zresztą, który to już raz? Przeczuwał, iż winien był chronić przed nim swoją rodzinę. Sądził, że kuzyn był zbyt nieodpowiedzialny, może nawet toksyczny. Zobaczył już przerażoną Gelgię, widział ciężarną Silkflake, poznał też kucyki, z którymi pegaz swego czasu współpracował i zdecydowanie nie zrobiły na nim dobrego wrażenia. Wszystko było nie tak, a on był teraz tutaj, w Manehattanie, z dala od tych, o których powinien zadbać. Nie było obok niego Wise, nie mógł upewnić się, że nic jej nie grozi.

– Jesteś słaby i żaloszny. Aż się dziwię okularnicy – zaczął mówić Steel, pomału odchodząc od stołu, z pogardliwym spojrzeniem na pysku. – Chociaż ze swoimi „walorami”, nie ma za bardzo w czym przebierać, no to jest skazana na ciebie! Wspaniale!

Z drugiej strony, powiadają, że gdy kończą się argumenty, to w pysk można dać.

* * *

Zbliżał się wieczór, lecz – zważywszy na porę roku – wciąż było jasno i dosyć ciepło, całkiem przyjemnie. Niemalże bezchmurne niebo pomału oblewało się odcieniami żółtego i pomarańczowego. Mimo ciężkiej pracy służb, atmosfera panująca w mieście była gęsta, przynębiająca, ale nieparzystokopytni ani myśleli się temu poddać. Korzystali z życia, nie tracili ani chwili.

Będąc między nimi, Gleipnir czuł się trochę zagubiony. Nie wiedział, jak mógłby podzielić ich emocje, zakładając, że faktycznie miały one solidny fundament, a nie były wyłącznie próbą wyparcia z siebie prawdy oraz świadomości tego, co się działo. Może nawet trochę im zazdrościł. Denerwował się na swój pech. W trakcie spaceru ulicami Manehattanu, wiatr dwukrotnie przywiał jakieś nekrologi, które uprzednio musiały zostać zerwane z tablic. Pierwszy arkusz zatrzymał się na jego przedniej nodze, drugi mierzył prosto w twarz, nim pochwyciła go magia.

Przeczytał je. Wprawdzie nigdy nie spotkał tych kucyków i nie miał pojęcia jakie one były, ale i tak ogarnęła go przytłaczająca przykrość. Odeszły w dość młodym wieku. To znaczy, miały już kilka ważnych życiowych etapów za sobą, lecz nadal o wiele więcej było przed nimi, niż za nimi. Natychmiast zaczął się zastanawiać, kim mogłyby być za lat pięć, dziesięć, czy nawet więcej, gdyby tylko los okazał się dla nich choć odrobinę łaskawszy i pozwolił im przeżyć. Jak wiele im zabrakło? Mieli jakieś szanse? A może poświęcili własne życie, by uratować kogoś innego?

Ilekróć przenosił wzrok na kucyki, zastanawiał się, czy ich zachowanie nie wynikało z jakiejś reakcji obronnej, wyparcia, choć z drugiej strony mógłby to być jedynie szok. Dziwny szok, który powodował, że dystansowały się od rzeczywistości. A może co niektórzy zaczynali popadać w szaleństwo?

Niedługo po tym, jednorożec przeszedł obok jarmarku, gdzie ostatni kupcy zaczęli porządkować kramy i pakować niesprzedane dziś towary. Nieco dalej, na podniszczonym, starym placu, stało kilka beczek. Wewnątrz płonęły rupiecie, zdaje się, że tylko po to, by dodać nastroju. Zgromadziły się tam kucyki w różnym wieku, chociaż żaden z nich nie wydawał się mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat. Wtedy to Gleipnir odkrył, że byli tam za sprawą grupy wędrownych grajków i bazarzy, którzy zapewne zajmowali jeden z pobliskich pustostanów.

Nie do końca wiedząc, czego się spodziewać, podszedł bliżej. Wtedy to usłyszał recytację jednego z utworów. Nie znał się na tym, toteż nie potrafił stwierdzić, czy był to tren, czy elegia, ale opowiadał on o pewnej klaczy, która każdego popołudnia siadała na ławeczce i spoglądała na północ, gdzie znikąca biegnąca przez gęsty las ścieżka. Z tego, co usłyszał ogier z południa, przechadzała się tędy ze swoim ukochanym, zanim wyruszył on na front. Wraz z kolejnymi wersami, drzewa znikwały, na ich miejscu zaczęły się pojawiać nowe budynki. Ścieżka została wybrukowana, wokół pojawiło się mnóstwo kucyków. Jedynym, co pozostało z przeszłości, była ta właśnie ławeczka, na której wciąż zasiadała ta sama, choć teraz już stara klacz.

Utwór zakończył się, podsumowując postęp jaki dokonał się wokół ławeczki oraz klaczy, dla której czas się zatrzymał. Niewzruszona tym, co powstało na przestrzeni wszystkich tych lat, siadała tam każdego dnia i czekała na swojego ukochanego, który z frontu już nigdy nie wrócił. Do ostatniego tchu staruszka nosiła w sobie nadzieję i z tą nadzieją wyruszyła w zaświaty, na tak długo oczekiwane spotkanie z tym jedynym.

Gleipnir poczuł się skołowany. Wyobraził sobie jej zatroskaną, stęsknioną ekspresję, skrytą pod siatką zmarszczek. Ba, przeszło mu przez myśl, że gdy była ona młoda, zaś jej nadzieja silniejsza, może nawet się uśmiechała, spoglądając w przyszłość z pogodą ducha. Czy naprawdę przez cały ten czas nie straciła nadziei? A może oczekiwanie przerodziło się w rytuał, a ten w rutynę? Jednorożec wyobraził sobie kucyki przemykające obok niej – roześmiane, niewinne, może i nieświadome poświęcenia, na jakie zdobyli się ci, którzy musieli walczyć. Spróbował poczuć ich emocje, tę atmosferę, kiedy czas wokół ciebie bezlitośnie przebiega do przodu, a otoczenie się zmienia, z czasem zacierając dawne wspomnienia. Wiesz, że to nieuniknione i że to naturalna kolej rzeczy, ale w głębi duszy nie chcesz się zmieniać, bo nie chcesz iść naprzód. Pozostaje bezsilność wobec czasu oraz przeznaczenia, zaś jedyną formą protestu staje się naiwne oczekiwanie na to, co już najpewniej nie nadejdzie. A raczej na to, co najpewniej już nie powróci.

Artyści recytowali jeszcze inne utwory, raz po raz przygrywała im melancholijna melodia. Wystarczająco przygnębiony własnymi sprawami Gleipnir zdecydował, że nie wytrzyma kolejnych rzeczy, zatem pospiesznie udał się w drugą stronę. Wszystko, co usłyszał, wszystko, czym dzieliły się te żyjące z dnia na dzień, uduchowione kucyki, on to odnosił nie tylko do obecnych wydarzeń, ale i do siebie. Co by zrobił, gdyby to jemu pewnego dnia pozostało naiwne odwiedzanie miejsca o szczególnym dla niego znaczeniu wiedząc, że bliskie mu kucyki bezpowrotnie odeszły? A co zrobiłyby one, gdyby ta niekończąca się przemoc i zło odebrały życie jemu?

Zdecydowanie nie miał w sobie tego, czego trzeba, by przetrwać. Nie był bohaterem i pomimo skrytych marzeń z dzieciństwa wiedział, że i tak nigdy by nim nie został. Żołnierze są gotowi na śmierć, a ryzyko i przemoc to ich chleb powszedni. Zdawało się, że to samo dotyczyło łowców, w ogóle, wolnych strzelców, porywających się na to, co nieznane i niebezpieczne. To nie był jego świat, nawet nie jego możliwości.

Im dłużej o tym myślał, tym większą czuł bezsilność. Nasłuchiwał się już o tym, że w sytuacjach kryzysowych ofiary są czymś nieuniknionym, zaś przemoc można zwalczyć tylko większą przemocą. Nie zmieniał to faktu, że nie chciał się z tym godzić, a już na pewno nie zamierzał do tego przywyknąć. Jednocześnie wiedział doskonale, że rozbrojenie całego świata było niemożliwe. Raz po raz słyszał, że nie powinien przejmować się rzeczami, na które nie miał wpływu. Ale jak tu się nie przejmować, skoro sprawy, na które nie miał wpływu, już przesądziły o jego losie? Nie on wszczął rewolucję i nie w jego mocy było jej zakończenie. Mógł się tylko podporządkować. I czekać.

Zrobiło się szaro, a niedługo po tym ciemno. Powiał chłodny wicher, z okolicy poznikały kucyki. W oknach ciągnących się wzdłuż alei budynków zaczęło pojawiać się światło. Gleipnir przechadzał się sam, choć kolejne kroki stawiał coraz wolniej i wolniej. Panował nad sobą i emocjami, lecz kocioł wypełniony przeróżnymi myślami nie przestawał bulgotać. Nie potrafił zdusić w sobie tych wątpliwości. Całym sobą czuł, że było to złe, ale z drugiej strony miał wrażenie, że coś się właśnie działo, coś się dokonywało i to coś bardzo dobrego, tak dla kontrastu.

Wtedy usłyszał za sobą znajomy głos. Był cichy, jakby zlewał się z szumem wiatru, lecz to wystarczyło, by tym razem to dla niego czas się zatrzymał.

– Tu jesteś. A ja szukam cię i szukam...

Przed oczami przemknęły mu kucyki, które widywał wcześniej. Spieszące się, dziwnie rozentuzjasmowane, jakby oderwane od rzeczywistości. Czyżby teraz i on zaczynał popadać w szaleństwo? A może to wszystko działo się naprawdę i to w tym właśnie kryła się ucieczka przed wszechobecnym okrucieństwem? Żadne szaleństwo, a próba wykorzystania życia, póki jeszcze się je miało? Może i było to naiwne, ale przynajmniej pozwalało na

chwilę słodkiej normalności. Tamte kucyki musiały mieć pewność, że było to warte każdego wysiłku i każdej minuty.

Jednorożec zastygł w bezruchu i trwał tak przez jakiś czas. Dłużyło się to w nieskończoność, aż wreszcie przełknął ślinę, po czym pomału odwrócił głowę. Już pierwszy rzut oka momentalnie wypędził z jego serca wszelkie wątpliwości i ponure myśli, na nowo wzniecając nadzieję. Czując jak powracają jego chęci, odwrócił się cały i postąpił kilka kroków naprzód.

Oto zaledwie kilka metrów przed nim stała zatroskana Wise Glance. Tak po prostu, znalazła go w Manehattanie. Po chwili para wpadła sobie w objęcia, nie posiadając się radości. Rzeczy, na które oboje nie mieli wpływu oraz parę regulacji wystarczyło, by ich rozdzielić i chociaż nie trwało to aż tak długo, dla nich była to niemal wieczność. Funkcjonowali, nawiązywali interakcje z otoczeniem oraz innymi kucykami, lecz na ten czas stało się to puste – taka niewygodna konieczność, która zatraciła gdzieś swój pierwotny sens. A teraz jakby wszystko powróciło na swoje miejsce.

Po czułym przywitaniu, uściskach i pocałunkach, Gleipnir zorientował się, że Wise nie miała na sobie żadnego okrycia. Ponieważ zapowiadała się dosyć chłodna noc, jednorożec czym prędzej zdjął swój lekki płaszcz i troskliwie okrył nim swoją wybrankę, pytając o zdrowie, jak się czuła oraz – o czym w sumie chciał porozmawiać już na samym początku – jak się tu znalazła.

– Przyjechałam pociągiem, głuptasie – odpowiedziała radośnie, w jej oczach wciąż stały łzy szczęścia. – Razem ze wsparciem. Wolontariuszami, pracownikami społecznymi i innymi – dodała, wtulając się w Gleipnira.

– Rozumiem. To znaczy, nie rozumiem – dziwił się jednorożec.

Przez moment Wise tuliła się, wymieniała czułościami z ukochanym, aż wreszcie puściła go, by stanąć przed nim twarzą w twarz i wyjaśnić sytuację nieco dokładniej. Raz po raz wycierała oczy. Z przejścia trudno jej było powstrzymać emocje.

– Naprawdę nie mogłam już dłużej tego znieść. Tego życia bez ciebie – mówiła. – A potem dowiedziałam się o ataku na Manehattan. I o tych potworach, o strasznych rzeczach, jakie się tu wydarzyły. Nie mogłam uwierzyć, ale to była prawda.

– To wieści aż tak szybko się rozchodzą? – zdziwił się ogier. – Spokojnie, nic mi nie jest. Było bardzo niebezpiecznie, ale dałem sobie radę. Dużo kucyków dało radę. Ale nie wszyscy. To było... nieuniknione – dodał.

– Myślałam, że zwariuję. Nie wytrzymałam. Popytałam znajomych, przeczytałam trochę... Um... – zawahała się. – Potrzebne było wsparcie, „wszystkie kopytka na pokład”, tak pisali. Porozmawiałam z Glorią, tą koleżanką mojej mamy, ona jest pielęgniarką. Wiesz, która to?

Gleipnir pokręcił głową, choć domyślał się, do czego zmierzała miodowa klacz.

– Na początku nie chciała się zgodzić, ale przekonałam ją. Pomogła mi się tu dostać. Przyjechałam jako wolontariuszka albo praktykantka, rozumiesz, zależy kto pytał – opowiadała. – Trochę nakłamałam. Może to nieładnie, ale chciałam się tu dostać tylko po to, by cię znaleźć i zobaczyć! Tak bardzo się bałam...

– A tutaj, na miejscu? Nikt się nie przyczepił?

– Nie, nie – zaprzeczyła klacz. – Do czego tak naprawdę nie byłam uprawniona, to zostawiałam innym. Trochę pomagałam, ale... – Wise opuściła głowę. Wyraźnie męczyły ją wyrzuty sumienia. – Na moim miejscu powinien być ktoś inny. Ktoś, kto potrafi udzielać pomocy medycznej.

Początkowo Gleipnir miał mieszane uczucia co do postępowania Wise, ale bardzo szybko zdał sobie sprawę, że przecież nie miał wpływu na to, jak postąpi klacz. Radzili mu się nie przejmować, tak? A zatem jednorożec przestał myśleć o tym, co mogłoby być, czy też co powinno się wydarzyć i skupił się na ukochanej. Może nie było to fair w stosunku do potrzebujących, ale z jakiegoś powodu Gleipnir, co wcześniej nie zdarzało się aż tak często, doszedł do wniosku, że dosyć już miał oglądania się na innych, kosztem samego siebie czy kucyków, na których realnie mu zależało. Zresztą, on też w jakimś sensie był potrzebujący.

– Spokojnie, bułeczko – mruknął, po raz kolejny przytulając Wise. – Nie myśl o tym. Nie warto – mówił, starając się pocieszyć klacz.

– Tym kucykom nic nie będzie, prawda?

– Prawda.

Gleipnir skłamał. Wiedział, że w szpitalach było dużo rannych w stanie ciężkim i krytycznym, o których życie trwała zawzięta walka, ale większość ocalałych miała się zupełnie dobrze. Jednorożec rozumiał wyrzuty Wise, choć sam osobiście takowych nie miał, nie czuł też potrzeby strofowania miodowej klaczy. Jak zapewne ujęłaby jej matka, poszła za głosem serca.

– Nie masz pojęcia jak się cieszę, że tu jesteś. – Gleipnir spróbował zmienić temat. – Powiem wprost, nawet gdyby komuś miało się bardzo pogorszyć, było warto. Dziękuję ci.

W chwilach takich jak ta, gdy w jego głowie gościły myśli kontrowersyjne tudzież wyrazy samolubstwa, zazwyczaj intuicja nakazywała mu ugryźć się w język, przeprosić. Tym razem tak się nie stało. Przez moment, ale tylko moment, Gleipnir nie mógł dać wiary, że rzeczywiście to powiedział. Ale nie miał żadnych wyrzutów. Wręcz czuł się dziwnie podjudzany, jakby każde kolejne powiedzenie dopingowało go do coraz większej śmiałości.

Wise Glance zmierzyła ogiera niedowierzającym spojrzeniem. Gdyby nie inne, dużo silniejsze emocje, pewnie zmarszczyłaby brwi i pouczyła go, że tak nie wolno.

– Chyba wyobraźnia płata mi figle – skomentowała wreszcie, wciąż bacznie przyglądając się ogierowi. Nie mogła uwierzyć, że go znalazła, a teraz nie mogła się napatrzeć.

– Mówię zupełnie poważnie! – zapewniał Gleipnir. – Uświadomiłem sobie, że to nie dla mnie, to bohaterstwo, przemoc... Po prostu nie – tłumaczył. – Inni, jeśli się do tego nadają, niech nadstawiają karku. Ale ja się nie nadaję. Nie chcę się zajmować innymi, tylko... – jednorożec przystopował na chwilę, onieśmielony uroczym uśmiechem Wise, jak również jej wyrażającym pełnię uczuć spojrzeniem. – Chcę się zajmować tobą. I rodzicami. I moją siostrą. No i jeszcze... No, wiesz. W przyszłości... J-jak my...

Gleipnirowi płatał się język, cały oblał się czerwienią, ale Wise doskonale wiedziała do czego nawiązywał. Sama się zarumieniała. W jednym momencie zniknęły wcześniejsze wyrzuty. Klacz po prostu poczuła się lepiej, bezpieczniej.

– Dobrze, że mi przypomniałeś – zaczęła lekko zmieszana, wciąż zarumieniona Wise Glance. – Moi rodzice nie wiedzą, że tu jestem. Uciekłam.

– Uciekłaś? A-ale...

– Zabrałam ze sobą wszystkie oszczędności. Moje i... No, to co udało mi się znaleźć. Takie tam – przyznała, choć trochę niechętnie.

– Chyba nie puściłaś rodziców z torbami?

– Nie, skąd. Większość i tak jest na koncie w banku. Ale to nieważne. Ważne jest to, że postanowiłam... coś – oznajmiła, uśmiechając się jeszcze cieplej. – Też zdałam sobie z czegoś sprawę. Dzisiaj jesteśmy, a jutro nas może nie być. Nie ma co zwlekać. I tak nie mamy na to wpływu. Powinniśmy... – klacz przełknęła ślinę. – Powinniśmy skoncentrować się na tym, na co akurat mamy wpływ. I czerpać z tego.

Na początku Gleipnir nie wiedział co sądzić o słowach narzeczonej, ale próbował zgadywać do czego zmierzała. W gruncie rzeczy, miał pewne podejrzenia, jednak kiedy Wise wreszcie to powiedziała, poczuł się dziwnie stremowany. Czerwień nie opuszczała jego pyska, a język momentalnie zagubił się w ustach.

– Weźmy ślub, dzisiaj, teraz!

Musiało minąć trochę czasu zanim uświadomił sobie, że usłyszał to naprawdę. Myśl o tym, by sformalizować swój związek w takim oto momencie, wydała mu się dosyć abstrakcyjna. Może nawet surrealistyczna, gdyby nastąpił kolejny atak – w jednej części miasta kucyki walczą z groteskowymi potworami na śmierć i życie, w innej składają sobie przysięgi. Potem konsumują związek, a za oknem bestia ze zbyt wieloma łapami i

kilkunastoma oczami zabija grupę zbrojnych. Żadne ze ślepi nie dostrzega tego, jak tuż obok inni żyją tak, jak gdyby nie działo się nic szczególnego.

– Ja widziałam, jest otwarty urząd, kucyki go oblegają. Te pary też nie chcą już dłużej ryzykować, ani czekać... Jutro może już być za późno, więc pomyślałam...

– Chwila, chwila, powoli! – zdenerwował się Gleipnir. W jego głowie wciąż krążyły surrealistyczne, groteskowe obrazy, nie potrafił skupić się na słowach Wise. – Jak to otwarty urząd? Które kucyki? Te, które widziałem? Ci, co żyją jakby śnili?

– Możliwe. Ty jesteś tu dłużej – odparła. – Przysięgam, po tym, jak patrzyli sobie w oczy, nie ma mowy o pomyłce. Możemy do nich dołączyć.

– Nie rozumiem. Ja, ja... – urwał nagle, nie chcąc zasmucić ukochanej. – Nie zrozum mnie źle, też tego chcę, ale nie wiem czemu...

– Ktoś musiał wcześniej przyjść i wyprosić to u urzędników! – Wise przerwała Gleipnirowi. – A zresztą, na co nam to wiedzieć? Wystarczy zapłacić. Mam pieniądze. Gdy przyjdzie nasza kolej, udzielą nam ślubu.

Niedługo po kwalifikacji wojskowej Gleipnir porwał się na małą spontaniczność. Wybiegł poza swe plany, postanowił się oświadczyć i choć z perspektywy czasu wydawało mu się to nie do końca przemyślane, czuł się z tym bardzo dobrze, bo miał kontrolę nad tym, co mówił i co się działo. Nawet jeśli rzeczy następowały po sobie za szybko. A teraz wszystko zaczęło pędzić. W mieście zjawiła się Wise z wieścią, że mogli się pobrać tu i teraz, skromnie, po cichu. Jedno słowo, a marzenie zostanie zrealizowane.

– Wiem, że nie tak to sobie wyobrażaliśmy, ale jutro może już być za późno. Boję się tego – przyznała miodowa klacz. – W ten sposób zdążymy. Pobierzemy się, coś jeszcze zostanie, wynajmiemy sobie za to pokój na tę noc... Um...

Gleipnir wziął głęboki wdech. Musiał podjąć decyzję.

* * *

Jeszcze zanim gwardziści dotarli do Spring Lake, na swej drodze napotkali swobodnie pomykające po okolicy stwory. Nie zachowywały się zbyt agresywnie, dopóki nie poczuły się sprowokowane. Szczęśliwie nie stanowiły one wyzwania dla przygotowanych do walki zbrojnych, nawet w dużych grupach okazały się mało groźne. Gonitwa za nimi opóźniła przybycie do miasteczka-bazy rebeliantów, a gdy okazało się, że nie są to zwyczajne potwory, kucyki zostały zmuszone przeznaczyć na oględziny i spisanie raportu jeszcze więcej czasu..

Nie było wśród nich badaczy, zaś łowcy, chociaż dobrze obeznani w zagadnieniach alchemii i mutacji, nie mieli prawa głosu. Sporządzono wprawdzie notatkę, jednak nie chciano przyjąć do wiadomości ich ostrzeżeń i wyjaśnień. Po prostu arbitralnie zasądzone, że

ich wnioski nie znajdują się w oficjalnych sprawozdaniach. Był to tylko jeden z wielu przykładów gorszego traktowania łowców przez siły zbrojne Equestrii.

Blue Spiral krzywił się za każdym razem, kiedy do jego uszu docierały rzeczy, o których on już wiedział, że były błędne i nie miały wiele wspólnego z badanym zjawiskiem. Ale cierpliwie milczał. Oszczędzał siły, to samo zresztą doradzał pozostałym. Pod czujnym okiem gwardzystów nawet dłuższe wymiany zdań między łowcami mogły zostać uznane za podejrzanę, toteż streszczał się jak tylko mógł. Nie chciał, by ktoś oberwał po głowie tylko dlatego, że ośmielił się mówić.

Jednorożec swoje już wiedział. Ktoś, może tajemniczy nekromanta, a może Ivy we własnej osobie, pomieszał różne zwierzęta drogą zaawansowanej alchemii i magicznie pobudził procesy życiowe organizmu, dając tym stworzeniom nieco więcej czasu nim zasiane przez transmutację spustoszenie zaczęłoby rozkładać ciało. Wydawało mu się to nieco dziwne, że puszczono je w samopas. To było zupełnie nie podobne do Ivy, która zwykle była doskonale zorganizowana.

Na ile zdołał się przyjrzeć Spiral, potwory miały pysk guźca, lecz paszcza była wypełniona dużo większymi zębiskami niż u tych zwierząt, a zza uszu wystawały rogi przywołujące na myśl kozę. Korpusy były obrosnięte sierścią, chociaż nie u wszystkich – u niektórych osobników pojawiały się dziwne przebarwienia oraz ropnie. Kończyny były zwieńczone nienaturalnymi, powykęcanyimi pazurami tylko trochę przypominającymi kurze. Godnym odnotowania było to, że w danych sytuacjach okazywały się bardzo chwytne. Stwory były szybkie, potrafiły działać w grupach, jednak brakowało im wytrzymałości. Gdyby to Blue Spiral odpowiadał za sprawozdanie, zwieńczyłby je wnioskiem, iż była to sztucznie wytworzona chimera niższej klasy – tak zwane „Profanado”.

Po zabezpieczeniu ciał potworów, na ich straży postawiono kilku gwardzystów. Mieli oni dopilnować, by kreatury pozostały martwe i by nikt z zewnątrz się nimi nie interesował. Przeczuwano, że ich twórca wciąż mógł być w pobliżu. Jednocześnie wysłano posłańca, aby ten zaraportował o nowym zagrożeniu oraz poprosił o dodatkowe wsparcie. Reszta sił miała do nich dołączyć w drodze powrotnej po wykonaniu akcji, lecz w razie potrzeby, na specjalny znak, mieli ruszyć do Spring Lake i wspomóc towarzyszy.

Słońce już dawno zdążyło skryć się za horyzontem, a zza chmur leniwie wyglądał księżyc, kiedy w zasięgu wzroku znalazło się ufortyfikowane miasteczko. Z oddali dało się dostrzec światła, a także usłyszeć hałasy. Wszystko wskazywało na to, że wróg znajdował się na wyciągnięcie kopyta, jednak im bliżej fortu byli, tym więcej dziwnych rzeczy napotykali. Kiedy Blazing Cube po raz pierwszy zasygnalizował, że coś może być nie tak, zignorowano to. Dopiero kiedy jeden z żołnierzy wdepnął w dziwną, grudkowatą maź, polecono przerwać marsz i zbadać okolicę.

Było już ciemno, więc by nie zostać przedwcześnie wykrytym przez nieprzyjaciela, znacząco ograniczono oświetlanie drogi, lecz kij ten miał dwa końce – w takich warunkach bardzo trudno było zauważyć ciągnące się po ziemi jakby żyły, całe czarne, niektóre pokryte jakimiś naroślami, gdzieś tam tworzyły się wąskie bajory pełne mazi. Na wszelki wypadek odkażono nogę pechowego gwardzisty. Po raz kolejny Blue Spiral oglądał jak nieobeznani z tego typu rzeczami zbrojni bładzili trochę jak żrebaki we mgle, nie bardzo wiedząc o co w ogóle oprzeć ewentualne hipotezy.

Biały ogier nie miał cienia wątpliwości, że na ziemi pojawiły się szkodliwe substancje pochodzenia magicznego – produkty uboczne wyjątkowo silnych reakcji alchemicznych oraz złożonych inkantacji. Wiedział już, że wszelkie abominacje musiały zostać stworzone właśnie w Spring Lake, gdyż zabawy z nekromancją oraz łączeniem materii organicznej produkowały przy okazji duże ilości specjalnych bakterii. Bakterie te, w styku z tak silnymi reakcjami dały to, co potocznie nazywało się pleśnią. Teraz ta pleśń rozrastała się, zaczynała pokrywać i przy okazji zatruwać coraz większą powierzchnię, co podważyło myśl, że ktokolwiek panował nad tym, co się wyprawiało w Spring Lake.

– Przepraszam, ale musicie nas wysłuchać, teraz!

Łowcy z niepokojem zerknęli za siebie, dostrzegając podchodzącą do jednego z przywódców Starry Fantasy – głównodowodzący był dosyć szczelnie odcięty od łowców – która zabiegała o rozmowę. Klacz wyglądała na przestraszoną, w jej głosie dało się usłyszeć autentyczną troskę. Mimo to gwardziści marszczyli brwi, a porucznik wciąż patrzył na Fantasy z góry, nie kryjąc niechęci i niedowierzania.

– Proszę, zaufajcie nam! Wiemy co to jest, grozi wam niebezpieczeństwo!

Blue Spiral martwił się o przyjaciółkę, ale to Rainy Flush jako pierwszy wyszedł przed szereg. Wciąż utykając na jedną nogę, kaszląc, podszedł bliżej, gotów bronić klaczy przed możliwym gniewem ze strony sił zbrojnych Pani Dnia. Pozostali łowcy, choć niezdecydowani, podążyli jego śladem. Otrzymali upomnienie od swoich nadzorców.

– To jest bardzo szkodliwa pleśń, efekt uboczny silnej czarnej magii i alchemii. Skoro to się wzięło z tej ich bazy, tam musi być jeszcze gorzej – mówiła, czując jak serce uderza coraz mocniej i szybciej, w miarę jak zbliżali się nieprzychylni łowcom gwardziści. – Powinniśmy się wycofać i wrócić tu lepiej przygotowani! Tę pleśń powinno się palić, lecz nie możemy ryzykować pożaru! – klacz znów podniosła głos.

– Jakiś problem, panie poruczniku? – spytał jeden z ogierów.

– Palić? Co jest, marzy się wam kolejna pożoga, co? – prychnął drugi jegomość.

Rainy Flush przyspieszył krok, by zaprotestować, lecz został odepchnięty. Upadł na ziemię, a gdy próbował wstać, oberwał od jednego z żołnierzy w twarz. Zdenerwowany

Blue Spiral poprosił o spokój, zapewniając, że nikt z łowców nie ma złych intencji, ale i ku niemu zaadresowano parę gróźb.

Po chwili znów ktoś krzyknął, lecz tym razem był to gwardzista. Ten sam, za którego sprawą przerwano marsz i zbadano teren, odnajdując pleśń. Zdziwił swoich towarzyszy, gdyż, tak jak Blue Spiral, poprosił, by zaprzestać przemocy. Wyraźnie zdenerwowany, podszedł do fiołkowej klaczy jednoroźca.

– Ja w to wdepnąłem! Co ze mną będzie? Umrę? – pytał z niepokojem.

– W najgorszym wypadku nabawi się pan choroby skóry, ale tylko tam, gdzie była pleśń – odpowiedziała czarodziejka, już nieco spokojniejszym tonem. Wydawało jej się, że była na dobrej drodze, by przekonać gwardzistów. – Pleśń jest szczególnie niebezpieczna gdy jest wysoko rozwinięta i gdy dostanie się do organizmu. Najczęściej przez otwarte rany albo otwory w ciele.

– Przez otwory? – mruknął porucznik, również podchodząc bliżej. – Czyli jeżeli jakieś zwierze to zje, zdechnie? Zmieni się?

– Trudno powiedzieć. Ale wystarczy, że pleśń będzie się rozwijać i pokrywać coraz większy obszar. Zatruje w ten sposób roślinność, a więc w dalszej kolejności zwierzęta. I jeżeli w okolicy ktoś uprawia silną magię, żywe istoty mogą nie umrzeć od razu, ale się zmienić. Ta pleśń reaguje na energię, a gdy jest w organizmie ofiary, oddziałuje również na nią, tak to działa.

Blue Spiral patrzył jak Starry Fantasy zaczyna gromadzić wokół siebie pewną grupę kucyków. Patrzono na nią z politowaniem, niedowierzaniem bądź po prostu unoszono brwi ze zdziwienia. A ona opowiadała o wszystkim zupełnie szczerze, gdyż od tych informacji oraz podjętych kroków zależało bezpieczeństwo i życie zbrojnych. Zła decyzja mogła zaprowadzić gwardzistów w samo serce wynaturzeń, skąd mogli już nie wrócić.

Jednorożec liczył, że dowództwo podejmie jednak tę złą decyzję. Miał swoje powody, którymi jednak nie podzielił się nawet z własnymi kompanami. Bynajmniej nie był z tego dumny.

– Sir, proszę wybaczyć, ale chyba nie zamierza im pan zaufać? – zapytał nerwowo jeden ze zbrojnych.

– Nie zamierzam – odrzekł chłodno porucznik, acz nie odrywając wzroku od fiołkowej czarodziejki. – Czyli ta pleśń, to jest jakby, eee... Muta-coś tam?

– Mutagen, tak! – ucieszyła się Fantasy. – Mutagen wtórny lub przetworzony, mówiąc ściślej! Jego efekty mogą...

Nagle do dyskusji wtrącił się Blue Spiral. To, co powiedział zdziwiło, ale i rozczerowało klacz, również wśród pozostałych łowców wrażenia były mieszane.

– To prędzej takie kolonie pomniejszych mutagenów wtórnych, same z siebie nic nie mogą – rzekł. – Poza tym, coś takiego może powstać również podczas zwyczajnych procesów magicznych, jeżeli się nie wysterylizuje przyrządów i otoczenia. A tutaj mutageny wniknęły do ziemi, magia utrzymywała się jakiś czas, powstała pleśń. Grzyb żywił się minerałami i roślinami, zwiększył swoje rozmiary. Tyle.

– Co ty wygadujesz?! – rzuciła Starry Fantasy. – Przysięgam! Grozi nam niebezpieczeństwo! – mówiła dalej, powracając wzrokiem do porucznika. – Powinniśmy zawrócić i poinformować o tym władze! A ten obszar trzeba koniecznie objąć kwarantanną i obserwować, żeby...

– Pozostawiam to do uznania wielce czcigodnego dowództwa – wtrącił beznamiętnie Spiral.

– Przestań, zamknij się! – wrzasnęła czarodziejka, choć porucznik wiedział już, co powinien zrobić.

Rainy Flush, choć trochę poobijany, zdołał wreszcie wstać na nogi. Starry Fantasy nie przestawała mówić. Gorliwie zapewniała, że Spiral wygadywał zlepek półprawd i że rozsądniej będzie teraz się wycofać, a teren odciąć od reszty kraju dopóki nie będzie możliwe wysłanie tu odpowiednio licznych i adekwatnie wyposażonych sił. Kiedy ogier odmówił, wpadła w histerię. Wygrażała się Spiralowi, raz po raz błagając, aby ją wysłuchano. Na nic się to nie zdało.

Doszło do tego, że fiołkowa czarodziejka została siłą odciągnięta od porucznika, który udał się w stronę pozostałych przywódców oraz głównodowodzącego. Dwaj gwardziści przytrzymywali ją w miejscu, a gdy Flush znów ruszył jej na pomoc, został powalony i obezwładniony. Jednocześnie w kierunku pozostałych zostały skierowane lance. Ich ostrza błysnęły w poświacie emitowanej przez rogi władających nimi jednorożców. Nie było zatem dyskusji.

Blue Spiral bardzo się denerwował. Patrzył na rosłe kucyki, które próbowały uspokoić Fantasy. Jeden z nich zakrył jej usta, żeby przestała krzyczeć. Czuł na sobie pełne wyrzutów, rozczarowane spojrzenia towarzyszy. Prawdę mówiąc, nie miał odwagi się do nich zwrócić. Udawał, że nie było ich w pobliżu i wlepił wzrok w dal, w kierunku Spring Lake. Wyobrażał sobie jak przegniłe i niebezpieczne musiało być to, co zostało z miasteczka.

Może gdyby wstawił się za przyjaciółką, powiedział coś jeszcze, wówczas dowódcy zmieniliby zdanie. Ale to uniemożliwiłoby mu realizację swojego własnego, małego planu. Znienawidził się za to, lecz ufał, że była to jedyna droga, by zapobiec czemuś znacznie gorszemu. Ponieważ gwardia była głucha na jego argumenty, musiał zagrać nieczysto.

Podjęto decyzję o sporządzeniu jeszcze jednego sprawozdania oraz bezzwłocznego wysłania go do Manhattanu, gdzie służby miały oczekiwać na kompletny raport z

przeprowadzonej akcji oraz wnioski, które potem miałyby zostać rozesłane do sztabów w całej Equestrii. Zaraz po tym marsz miał zostać wznowiony, ze szczególną ostrożnością względem pleśni oraz innych czynników szkodliwych.

Blue Spiralowi pozostawała nadzieja, że gdy będzie po wszystkim, jego przyjaciele jakimś cudem ujdą z życiem. Nawet się nie łudził, że kiedykolwiek mu wybaczą.

* * *

Im bliżej fortu w Spring Lake byli, tym więcej pleśni napotykali. Co gorsza, oprócz czarnych, gdzieś tam pokrytych naroślami „żył”, znaleziono odrażające skupiska żywej materii organicznej w postaci wyrastających z pleśni bąbli, z wyglądu przypominających cysty. Tu i ówdzie dało się dostrzec delikatnie pulsujące błony. Wątpiono, że wszystko to powstało wyłącznie z rozwijającej się pleśni, gdyż nawet przy udziale samej magii niemożliwym było wyhodowanie organicznych form. Nie bez odpowiednich stymulantów. Natychmiast odnotowano, że ekipa badawcza winna sprawdzić obecność alkoholi oraz innych możliwych organicznych związków chemicznych – potencjalnych stymulantów.

Żaden z kucyków, czy to gwardzista, czy łowca, wolał nie myśleć o alternatywach, gdyby okazało się, że jednak wystarczyła do tego czarna magia lub eliksiry. Wydawało się, że im bliżej celu byli, tym więcej znajdowali dowodów na to, jak daleko w profanacji życia i natury posunął się nekromanta. Blue Spiral był jedynym, który dostrzegał w tym cokolwiek fascynującego, do czego nie miał zamiaru się przyznawać. Ukradkiem badał aurę, próbował zorientować się czym były te twory. Kusiło go, by spróbować skubnąć z tego jakąś próbkę, choć surowa magia mogła nie wystarczyć.

Podchodząc pod główny wjazd do miasta, kucyki natrafiły na drzewa oraz elementy struktur obronnych, w całości pokrytych czarną skorupą. Niedługo po tym w ich stronę rzuciły się pierwsze bestie. Posturą przypominały goryle, lecz znacznie wyrośnięte, z wystającymi kłami oraz błyskającymi czerwienią oczyma. Potrafiły okazały się szybkie i zwinne, kilku gwardzistów zebrało powalające ciosy, nim ich towarzysze zdążyli wprowadzić kontratak.

Walka okazała się trudna do przełknięcia, jako że niektóre pchnięcia lancą przebijały ropy na ciałach nacierających przeciwników. Pękały trochę jak balony, bryzgając ropą i krwią, czemu towarzyszył przeraźliwy ryk ranionego potwora. Zazwyczaj ci osobnicy upadali w konwulsjach, dając gwardzistom okazję do dobicia, choć niektórzy okazali się bardziej wytrzymali.

Początkowo łowcy rzucali zaklęcia spowalniające, później zaczęli tworzyć bariery, by zablokować pięści stworów i w rypociu uderzyć strzałami energetycznymi, wystrzeliwanymi w głowę lub brzuch napastnika. W pewnym momencie Blazing Cube wpadł na pewien

pomysł. Jeżeli były to żywe stworzenia, wówczas mogły na nie zadziałać inkantacje deprywacji sensorycznej. Kosztowało to wiele energii, ale udało się i już po chwili potwory zaczęły bezzadanie błędzić, rozglądać się, chwytając za głowy i padać na ziemię, nie potrafiąc ocenić ani dystansu, ani własnych możliwości w danej sytuacji.

Jak się okazało, nie były to jedyne nieprzyjemne niespodzianki czyhające na kucyki. Mimo rozpalonych świateł, miasteczko było zupełnie opustoszałe, gwardziści natrafili jedynie na wypisane na ścianach wiadomości, zapewne od przywódczyni rebelii. Jedne dosyć groteskowe, jak „żryjcie gówno, skurwysyny”, drugie bardziej złowrogie, choćby „zgnijecie tu żywcem” czy „nie odnajdą was”.

Niebawem rozbrzmiały kolejne ryki, a ziemia delikatnie się zatrzęsała, równocześnie z dochodzącym z oddali odgłosem pękających łańcuchów. Wszystko stało się jasne – to była pułapka. Ku gwardzistom oraz łowcom zaczęły kroczyć lub pełzać kolejne potwory. Wszystkie były hybrydami, jedne bardziej odrażające od drugich. Gdy między budynkami, jakby znikąd, powyrastały wysokie, czarne jak smoła postacie o łapskach zwieńczonych długimi jak maczeta pazurami, oglądające świat kilkoma ślepiami o różnej wielkości, dowódcy, po raz pierwszy odkąd tu przybyli, poczuli grozę.

Nie minęło wiele czasu zanim z ciemności wyłoniły się pełzające stwory o ciele złożonym z segmentów, o licznych parzydełkach oraz zdeformowanej głowie, o ile to w ogóle była głowa. Głównodowodzący od razu skojarzył stwora z raportem Weissza Blackwilla. Czy między atakiem potworów w Hollow Shades, a wybuchem buntu istniało jakieś powiązanie? Czy za wszystkie te incydenty odpowiedzialne były te same kucyki?

– Nie pozwólcie, by zawładnął wami strach! – zawołał patetycznie kapitan. – Za Equestrię, w imię Pani Słońca! Te plugastwa nie mogą opuścić tego fortu!

– Do ataku! – zawołali zbrojni, przystępując do natarcia.

Łowcy dołączyli do gwardzistów, choć na glinianych nogach. Jak się spodziewali, te wysokie, czarne stwory zostały obdarzone właściwościami podobnymi do tych, którymi charakteryzowały się typowe magiczne szlamy. Powołane do życia za pomocą magii istoty, po otrzymaniu ataku łańcą, rozbryzgiwały się na kilka części. Po chwili te smoliste fragmenty zaczynały z powrotem łączyć się w jedno. A kiedy z czarnej, nieuporządkowanej masy uformowany został potwór, ruszał wściekle do ataku na nic nie podejrzewającego napastnika, który już był zajęty kolejnym celem. Jedno chyba cięcie przebijało pancerz i rozrywało ciała ogierów jakby było to masło. Nieszczęśnicy padali bez życia na ziemię, najczęściej w kawałkach.

Nie było czasu do stracenia. Blazing Cube wykorzystał pozostałą energię, by rzucić kilka ulubionych zaklęć opartych na żywiole ognia – najsilniejszej broni przeciwko tego typu istotom. Po chwili „szlamy” przerwały ataki i zaczęły zmieniać się w pełzające grudy czarnej

masy. Gdy zajęły się ogniem, rozbrzmiał nieprzyjemny bulgot, a w powietrzu zawisł przykry odor. Ogień Blazing Cube'a pomału lecz sukcesywnie spalał szlam. W kilka minut miało nie być po nich śladu.

Jednakże nim jednorożec zdążył dokończyć zaklęcia, powietrze stało się suche, zaczęło szczypać w oczy, kilku kucyków doznało duszności. Gdzieś wyglądało to tak, jakby niespodziewanie coś zapłonęło, gdzieś na wysokości głów gwardzystów. Na domiar złego, raz po raz następowały niewielkie wybuchy, po których zostawał duszący żar.

– Co się dzieje?! Przerwijcie to! – zawołał zdezorientowany porucznik.

– Ta pleśń... Te skorupy, cokolwiek, coś musi emitować jakieś pyłki! – zawołała Starry Fantasy.

– I one płoną? Tylko nie to! – zdenerwował się Cube. Magia ognia była jego specjalnością, a także dobrą bronią przeciwko stworom. Gdyby ograniczyć jej użycie, bitwa mogłaby zakończyć się niepowodzeniem w przeciągu kilku minut. – Potrzebuję jeszcze chwili! Rainy Flush, liczę na ciebie!

Srebrzystogrzywy jednorożec zdobył się na ogromny wysiłek i zaczął własną magią obniżać temperaturę otoczenia, wpływać na wilgotność powietrza, wszystko by ograniczyć podpalenia i wybuchy. Musiał zażyć odpowiedni eliksir, aby nie opaść z sił kiedy już będzie po wszystkim, choć osobiście wołał zaryzykować, a mikstury zostawić na tę absolutnie najczarniejszą godzinę. Liczył się z tym, że mógł umrzeć z wycieńczenia lub od ran, które jakiś czas temu się otworzyły. Jedyny pożytek byłby z tego taki, że wówczas z jego mikstur mógłby skorzystać ktoś inny.

Póki co Flush nie zamierzał umierać, toteż heroicznie walczył z własnymi ograniczeniami, mając na celu nie tyle własne przetrwanie, co wsparcie przyjaciół. Szło mu całkiem dobrze, pomimo bólu. Gwardziści przeszli z defensywy do ofensywy i zaczęli rozgromiać ostatnie z pełzających hybryd.

Kucyki posuwały się coraz dalej i dalej, w głąb fortu. Odnalazły namioty i obozowiska, niektóre prawie całkowicie pokryte naroślami czy pleśnią. Wszystko gniło, napawając przy tym grozą. Natychmiast ruszyły ku częściowo opanowanym przez czarną skorupę domostwom. W pocie czoła zabezpieczały teren, choć pozostawały w gotowości, na wypadek jakby za moment miało pojawić się nowe zagrożenie.

Starry Fantasy pomogła Flushowi utrzymać się na nogach, zmusiła go też do spożycia kolejnej mikstury. Doceniała jego poświęcenie, ale nie miała zamiaru go chować zaraz po zakończeniu akcji. Została z nim, aż odzyskał pełną świadomość.

Łowcy byli poganiani przez gwardzystów, co niektórzy grozili, że za zostanie w tyle zostaną wyciągnięte konsekwencje. Ale fiołkowa klacz o to nie dbała. Ta część fortu była

względnie opanowana i wyczyszczona z bestii. Potrzebowała jeszcze minuty. Wtedy to zdecydowała zwrócić się o pomoc do Blue Spirala. I zamarła.

Białego jednorożca nigdzie nie było widać. Rozglądała się, wołała go, lecz nie uzyskiwała odpowiedzi. To zwróciło uwagę Rocky'ego, który czym prędzej pogalopował w ich stronę. Przejął od niej Rainy Flusha i wraz z nim udał się w stronę sprawdzających teren gwardzistów, wciąż ubezpieczanych przez zmęczonego Blazing Cube'a oraz dwóch innych jednorożców.

- Widziałeś Blue Spirala? Gdzie on jest? – denerwowała się kłacz.
- Cholera jasna! Straciłem go z oczu jakiś czas temu! Myślałem, że był gdzieś obok was! – odpowiedział nie mniej podminowany Rocky.
- Chwila... Nie było go z Blazing Cubem i resztą? – zdziwił się Flush.
- Niemożliwe, widziałbym go! Szlag by to...! – Ogier ziemski uderzył kopytem o ziemię. – Czy on...? – wycodził, tracąc część swej odwagi.
- Nie, nie zginąłby w tak banalnej walce – zapewnił srebrzystogrzywy.
- Może... Może go poszukam? – zaproponowała Fantasy, co spotkało się ze stanowczym sprzeciwem jej przyjaciół.
- Musimy trzymać się razem! Może on gdzieś tam jest, może coś znalazł... Nie traćmy nadziei!

Łowcy dokonali szybkiego przegrupowania. Ich szeregi kurczyły się, kilku śmiazków leżało martwych, tuż obok zabitych gwardzistów. Starali się nie patrzeć w tamtą stronę, nie chcieli stracić swej gotowości. Ufali, że Spiral tylko oderwał się od grupy i za moment do niej dołączy, by walczyć dalej.

Niestety, zamiast Blue Spirala, dały o sobie znać kolejne potwory. Co gorsza, identyfikacja źródła hałasu okazała się nie lada wyzwaniem. Po jakimś czasie kapitanowi przyszło do głowy, że jego zespół mógł być otoczony. Zapominając o niechęci, wszystkie kucyki zacieśniły szeregi, przygotowując się do kolejnej bitwy. Wrogowie bez wątplenia byli coraz bliżej i bliżej, powoli zmierzali w stronę gwardzistów, ich upiorna opieszałość przerażała kucyki, które nie wiedziały czego się spodziewać. Jakby te stwory wiedziały doskonale, że miały kolejne ofiary jak na srebrnej tacy i z tego tytułu nie spieszyły się ani trochę.

W pewnym momencie ktoś zaczął kaszleć. Pewien ranny gwardzista próbował coś wypluć – dziwna ciecz ciągnęła się, kleiła, nie chciała opuścić jego ust. Rainy Flush bez ostrzeżenia zwymiotował czymś podobnym, zaś Starry Fantasy poczuła lekkie nudności. Otrzeźwił ich ryk dochodzący z pobliza, a także szuranie o ziemię. Po chwili dało się usłyszeć także leniwe człapanie. W zasięgu wzroku pojawiły się kolejne kreatury.

Tak oto rozpoczęła się kolejna walka na śmierć i życie.